



GŁOS NAUCZYCIELSKI

ROK LXXVII

NR 32 ● 7 VIII 1994 r.

CENA 7000 ZŁ

Pytania o ostatnie doznania artystyczne zbyt często prowadziły do powierzchownych relacji z drugiej ręki

7

Nigdy dotąd nie spotkałam tylu utalentowanych, zaangażowanych pedagogów. Żeby ich zrozumieć muszę zadawać pozornie naiwne pytania — twierdzi NORAH McWILLIAM z Wielkiej Brytanii

8

Kurator Grażyna Ziolkowska sądzi, że upowszechnienie nowej koncepcji nauczania początkowego — odłolnie wymusi reformę

9

Jak ratować przed upadkiem nauczycielskie ośrodki wypoczynkowe?

10

„TEMPUS — REDESIGN”

EFEKT KASKADY?

WITOLD SALAŃSKI

W Zespole Kolegiów Nauczycielskich w Szczytnie, woj. olsztyńskie, odbyła się w pierwszych dniach wakacji — od 27 do 29 czerwca br. — konferencja poświęcona prezentacji i ocenie wdrażanego w Polsce od blisko trzech lat międzynarodowego programu edukacji wczesnoszkolnej „Tempus-Redesign”. Organizatorzy wyrazili przekonanie, że doświadczenia pedagogów uczestniczących w tym programie dadzą asumpt do — jak określili — przeprojektowania obecnego modelu kształcenia nauczycieli (przeprojektować — po angielsku redesign, stąd nazwa programu).

Co to takiego „Tempus-Redesign” i dlaczego program ten wymaga zreformowania studiów nauczycielskich? A w ogóle po co jest on nam potrzebny?

System klasowo-lekcyjny do... lamusa

Może najpierw zapytajmy, czy dotychczasowe, tradycyjne sposoby nauczania, zwłaszcza w klasach początkowych, są skuteczne, właściwe — mówi uczestniczka konferencji, Halina Gut, doradca metodyczny w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Bielsku-Białej. — Proponuję przeprowadzić obserwację zwykłej lekcji w przeciętnej szkole tylko pod jednym kątem: stopnia aktywności poszczególnych uczniów.

Jak się dowiedziałem, obserwacje takie poczynili już studenci kolegiów i uczelni, w których wdrażany jest program „Tempus-Redesign”. — Właściwie to od tego powinny zaczynać się studia pedagogiczne — mówi Stanisław Szuksta, kierowniczka praktyk studenckich w Kolegium Nauczycielskim w Elblągu. — Przyszli pedagodzy przeżywają podczas tych swoich badań konsternację...

Co się okazuje? Ze skrzętnie prowadzonych notatek studentów wynika („monitorowane” było każde dziecko w wybranych klasach I—III), że w lekcji bierze aktywny udział średnio pięć-czoro uczniów. Reszta ponad 20 dzieci zachowuje się biernie. Udział tej grupy w zajęciach polegał głównie na mechanicznym przepisywaniu z tablicy. Badający studenci zauważyli też to chyba najbardziej przegniebiająca konstatacja — że wielu uczniów milczało jak trusia przez cały dzień, a zdarzało się, że i przez kilka dni.

— Opracowaliśmy ze studentami szczegółowy raport — dodała dr Dorota Gołębiak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

— Na przykład mierzyliśmy ile czasu był „przy głosie” nauczyciel, a ile uczniowie, jak też ile zadaje on pytań i „jaki mają one charakter. Wnioski nasuwały się również smutne: nauczyciel wypełniał swoją osobą większość lekcji, dzieci nie były zmuszane do myślenia. Jeśli już odpowiadały, to z reguły „pod nauczyciela” lub dla stopnia, często nie rozumiejąc w pełni sensu wypowiedzianych przez siebie słów, na ogół ukrywając własne myśli, odczucia, doznania. Nauka odbywająca się w ten sposób to dla większości uczniów czas stracony.

Dr Gołębiak jest jednak daleka od obarczania odpowiedzialnością za taki stan rzeczy nauczycieli. Jej zdaniem, „winowajcą” jest tu dotychczasowy, tradycyjny system klasowo-lekcyjny. To on wymusza zarówno na nauczycielach, jak i uczniach określony sposób bycia. Pedagog, stojąc frontalnie przed klasą złożoną z trzydziściorga dzieci, których naturalnym sposobem zachowania się jest ruch i ciągła aktywność, musi być z konieczności represyjny. Uczestnicy programu „Tempus-Redesign” sporządzili podczas swoich zajęć warsztatowych listę dziesięciu typowych zwrotów używanych przez nauczyciela. Nazwali ją dekalogiem nauczyciela tradycyjnego:

1. Nie ściągaj ze słownika. 2. Nie dukaj. 3. Komiks możesz poczytać sobie w domu. 4. Myśl po cichu. 5. Nie denerwuj nauczyciela pytaniami. 6. Nie zadawaj głupich pytań. 7. Co to za pismo? 8. Nie rozmawiaj z kolegami. 9. Nie wymuszaj się. 10. Siedź cicho i słuchaj

Nauczyciel, nie mogąc pracować z każdym dzieckiem oddzielnie, narzuca całej klasie do wykonania jednokowe zadania, które tylko w niewielkim stopniu aktywizują uczniów. Jak twierdzi dr Dorota Gołębiak, jednym z największych mankamentów systemu klasowo-lekcyjnego jest słabe, wręcz minimalne wykorzystywanie języka jako instrumentu myślenia i środka komunikowania się. Dzieci na lekcjach mówią mało, co zresztą potwierdziły obserwacje studentów. Jeśli już zabierają głos, to w języku, który nie odzwierciedla dziecięcego sposobu myślenia. Jest to tak zwany kod rozwinięty, czyli — mówiąc najprościej — język literacki używany przez dorosłych, w tym także przez nauczyciela.

Skoro całe zło tkwi w systemie klasowo-lekcyjnym, to trzeba ten system odrzucić — mówią uczestnicy konferencji w Szczytnie. Tylko czym

go zastąpić? Odpowiedź znajduje się właśnie w programie „Tempus-Redesign”. Proponuje się w nim zupełnie nowy sposób nauczania i organizowania zajęć.

Bezstresowo

— Nie ma już lekcji, przedmiotów, dzwonek i klas jako podstawowych grup, z którymi pracują nauczyciele

8

PÓLMETEK WAKACJI

AGATKA ŚMIEJE SIĘ!

MAREK KOZUBAL

Półowa rodzin nie wysłała dzieci na wypoczynek poza miejsce zamieszkania, bo nie ma na to pieniędzy — alarmuje Centrum Badań Opinii Społecznej. Tylko co trzecia rodzina zafunduje w tym roku przynajmniej tydzień wakacji wszystkim swoim dzieciom. Nigdzie nie wyjadą dzieci przede wszystkim z rodzin najuboższych, których nie stać na sfinansowanie letniego wypoczynku swoich pociech.

Na półmetku wakacji postanowiliśmy więc sprawdzić, jak wygląda życie kolonijne i obozowe, które dzieci mogą skorzystać z tych form wypoczynku.

W SIODLE

W Popowie, małej miejscowości na Kurpiach (woj. ostrołęckie) spotykamy dzieci na kolonii zorganizowanej przez Szkołę Jazdy Konnej Pa-ta-taj! Kolonia ta mieści

się w byłym ośrodku fabryki traktorów w Ursusie, a obecnie znajduje się tam ekskluzywnie wyposażony kinderschop. Pomiedzy drzewami usytuowane są sale do zabawy w bilard, do gier komputerowych, na „pustyni” rozłożono powłokę wielkiego balona, po której skaczą dzieci, jest także basen. Dzieci znajdujące się na kolonii w czasie dwutygodniowego turnusu uczą się jeździć konno, mają zajęcia z aerobiku, a także korzystają z basenu. 96 dzieci od I do VII klasy mogło skorzystać z tej oferty po przeczytaniu przez ich rodziców reklamy w gazetach. Większość dzieci po raz pierwszy ma styczność z końmi. Jednak tylko dwójce boi się tych zwierząt. Prywatna szkoła jazdy dysponuje 15 karnymi rumakami i kilkunastoma kucykami do zabawy z dziećmi — przewożą wodę z miejsca na miejsce, bawią się w berka.

Gdy przyjeżdżamy na tę kolo-

nię dzieci uczą się wolno jeździć na koniach. W czasie jazdy instruktor przeprowadza zajęcia gimnastyczne — wyrabiające mięśnie i równowagę. Każda grupa kolonistów codziennie jeździ po 45 minut.

— Dzieci są niezwykle spontaniczne i po prostu fajne. Spokojnie wykonują wszystkie ćwiczenia i szybko uczą się podjeżdżać do konia — mówi Małgorzata Fatek, instruktor jazdy konnej w Kaniach Helenowskich. Na początku wszystkie chciały dosiadać dużych koni, ale z czasem przyzwyczyły się i polubiły małe i leniwe kucyki. Dzieci same wybierają konie do jazdy, gdy jeden z nich jest bardziej lubiany koloniści grają o niego w marynarza.

Kolonia ta jest dostępna dla dzieci ze średnio sytuowanych rodzin. Dwutygodniowy turnus kosztuje 3.400 tys. zł.

— Moje dzieci cały dzień przeżywają poranną jazdę konną, już wieczorem pytają się, kiedy będą mogły usiąść na ukocone przez nich zwierzę. Są bardzo radosne — dodaje Bożena Duńska, studentka historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego i kolonijna wychowawczyni.

Tylko na początku troszeczkę się bałam — opowiada 9-letnia Ania, ale teraz już nie. Bardzo kocham swojego kucyka. Jest taki miły, spokojny i mądry. Wszystko robi co mu powiem. Troszeczkę tęsknię tylko za rodzicami, ale moja pani jest fajna.

Właściwie nie obserwuję żadnych problemów wychowawczych w pracy z tymi dziećmi — opowiada wychowawczyni. Nie raz tylko trzeba je przytulić i im „pomotkować”. Obserwuję, iż na kolonii tej są dzieci z bogatszych rodzin z okolic Warszawy, są także dzieci Polaków mieszkających w Szwecji i Niemczech

Kadrę kolonii stanowią instruktorzy jazdy konnej ze stadniny w Kaniach Helenowskich, a wychowawcami są studenci Akademii Wychowania Fizycznego i innych warszawskich uczelni.

Za pracę na kolonii otrzymują niewielką pensję, mają zapewniony nocleg i wyżywienie, a także po południu mają jazdy konne. Gdy wybieraliśmy kadrę na kolonię przede wszystkim zgłosili się do nas ludzie młodzi. W rozmowach z dziećmi stwierdziliśmy, że bardziej wolą, aby ich wychowawcami byli studenci. Podchodzili do swoich wychowanków bardziej spontanicznie, zabawowo niż nauczyciele. Widocznie dzieciom podoba się tutaj, gdyż przyjeżdżają w to miejsce po kilka razy.

WARTY, NIETOPERZE I SPADAJĄCE GWIAZDY

W sercu Puszczy Kampinoskiej rozbili swój obóz harcerze z V Warszawskiej Drużyny Harcerskiej ze Szkoły Podstawowej nr 37 w Warszawie. W obozie uczestniczy 26 druhow oraz 6 dzieci, które dotychczas nie miały styczności z harcerstwem. Jest to pierwszy obóz dla tych dzieci. Turnus trwa 13 dni.

Już na samym wstępie zaskakuje nas spontaniczność obozowiczów. Witają nas lizakami i ciastkami. Kadrę obozu stanowi przeżywcza komendantka Barbara Rydzńska, która mówi o sobie, że jest wychowawczynią hobbistką. Jest pracownicą Politechniki Warszawskiej, obóz prowadzi społecznie w czasie urlopu wypoczynkowego. Pomagają jej dwie 16-letnie licealistki

6

CO PISZA INNI

POLOWANIE NA TURYSTÓW

Latem zagrożenie przestępstwami w miejscowościach wypoczynkowych wzrasta o 50 proc. W nadmorskim Mielnie w lipcu i sierpniu liczba włamań i kradzieży samochodów zwiększa się o ponad sto procent, a innych przestępstw o kilkadziesiąt procent, wzrasta też liczba bandyckich napadów. Policja podejrzewa, że sprawcami znacznej liczby wakacyjnych przestępstw są zwalniani w tym okresie pensjonariusze ośrodków wychowawczych dla nieletnich przestępców oraz domów poprawczych. Część z nich nie dociera do domów, lecz organizuje sobie wakacje na własną rękę. („Wprost” nr 30/94)

PISARZ Z DYPLOMEM

Od jesieni na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego zacznie funkcjonować Podyplomowe Studium Literacko-Artystyczne, czyli szkoła pisarzy. Dobrze, iż w Polsce dojrzała sytuacja do zakładania szkół dla pisarzy. Różne wydziały i programy typu active writing od dawna funkcjonują w Ameryce, a uwikłane w bolszewizm szkółki pisarskie były specjalnością ZSRR. Powszechna opinia o wszelkiego typu szkołach pisarskich jest taka, że są to szkoły dla grafomanów — pisał Jerzy Pilch. A może niejeden grafoman pojawiający się w literaturze jest poważną sprawą i zetknął się z pisarzami z prawdziwego zdarzenia — zrezygnuje. Z pożytkiem dla kraju i literatury rozkryć własny interes. Wielkim i prawdziwie utalentowanym pisarzem szkoła takie z pewnością nie zaszkodzi, dając pewien elementarny kurs np. z zakresu logiki polszczyzny. Szkoła taka może dostarczyć kursantom żywego kontaktu z literaturą niż np. tradycyjna polonistyka. („Tygodnik Powszechny” nr 30/94).

MALI DOROŚLI

Coraz więcej dzieci w Rosji dostarcza rodzinom dodatkowych dochodów. Myją szyby samochodowe, sprzedają losy na loterie, czyszczą buty turystom i członkom mafii. Część dwunastolatków ma już swoje drobne chałtury. W szkole pogłębia się podział między posiadaczami a resztą. Powstaje grupa bananowej młodzieży. Ci uczniowie stają się lichwiarzami i płacą swym kolegom za drobne usługi, m.in. za odrabianie lekcji. Nierówności widać szczególnie wyraźnie w porze śniadania, kiedy najbogatsi wyciągają z tornistra kanapkę z szynką (która kosztuje tu majątek) pod zazdrosnym spojrzeniem niekórych wygłodzonych.

Nasza publiczność nie śmieje się już z tych samych gagów — mówią aktorzy teatrów dla dzieci. — To są mali dorośli o bardziej niezależnych upodobaniach, lekturach, sposobie ubierania. Skończyły się czasy, kiedy wprawiali ich w zachwyt bajki i legendy. („Forum” nr 31/94).

KOMUCHY NIE NABRUDZIŁY

W ostatnich dniach lipca w Jankowie koło Gniezna odbywa się Złot Młodzieży Prawicowej (w skrócie ZMP). Z wezwania drukowanego w „Gazecie Polskiej” dowiadujemy się: Zabrać trzeba namiot, pieniądze na jedzenie i różne inne niezbędne latem pod namiotem sprawy oraz dobry humor, bo złot ma charakter wypoczynkowo-rozrywkowy, a nie konferencyjny. Okolica jest piękna, z mikroklimatem, nie zanieczyszczonym przez komuchów jeziorem, lasem itp. („Polityka” nr 31/94).

RELIGIA W WIELKIEJ BRYTANII

W propozycjach brytyjskiego ministra oświaty dotyczących edukacji religijnej lwią część czasu przeznaczają na studia nad chrześcijaństwem... W ciągu dwóch pierwszych lat nauki dzieci powinny poznać podstawy chrześcijaństwa — postaci, zdarzenia, święta i symbole oraz jedną religię niechrześcijańską. 7—11-latków będą musiały poznać już dwie religie... Dla młodzieży dorastającej 11—16 lat przewiduje się zgłębianie tajników chrześcijaństwa i dwóch innych religii, ale uwagę kieruje się również na wpływ wiary na życie społeczności lokalnych i związki religii z aktualnymi problemami. Zwieńczeniem całego cyklu ma być wyrobienie w uczniach zdolności do samookreślenia w dziedzinie religii i filozofii życiowej. Przed ukończeniem 16. roku życia uczniowie powinni mieć orientację w sześciu głównych religiach: chrześcijaństwie, judaizmie, hinduizmie, buddyzmie, sikhizmie i islamie. („Tygodnik Powszechny” nr 30/94).

Wybrała
IZA KUJAWSKA

NIEUSTANNA PRENUMERATA

Jeśli nie zdążyłeś zaprenumerować „Głosu” w Ruchu lub na pocztę — możesz uczynić to u nas. Wpłacając na konto redakcji PBK SA III O/Warszawa nr 370015-977269-136 za jeden egzemplarz w III kwartale 1994 r. 10000 zł (w tym opłata pocztowa) otrzymasz kolejne numery „Głosu”. Na przekazie zaznacz — prenumerata. „Głos” przyjdzie do Ciebie pocztą!

ŁAŃCUT 1994

XI OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA SIENKIEWICZOWSKIE

To z prawdziwym rozmachem przeprowadzone przedsięwzięcie obejmowało obok serii imprez artystycznych dla młodzieży, takich jak wielokrotnie prezentowany przez Marię Sienkiewicz (wnuczkę twórcy „Trylogii”) wzruszający monodram pt. „Mój dziad Henryk” (pióra Barbary Wachowicz), wystąpienia znanego aktora Tomka Mędrzaka (przed laty Stasia Tarkowskiego z filmu „W pustyni i w puszczy”), gawędy Juliusza Sienkiewicza (wnuka pisarza) o swoim wielkim Przodku, również bardzo interesującą konferencję naukową pt. „Interpretacje arcydzieł H. Sienkiewicza a dydaktyka szkolna”.

Zespół badaczy kierowany od wielu lat przez znanego sienkiewiczologa, prof. dr. hab. Lecha Ludorowskiego (UMCS), przedstawił (adresowany głównie do nauczycieli) cykl siedmiu wartościowych referatów, które ukazując bogactwo najnowszych przymysłów merytorycznych, przynosiły równocześnie wiele cennych sugestii dydaktycznych wspomagających analizę „Trylogii”, „Quo vadis?” czy „Krzyżaków” na lekcjach języka polskiego.

Itak, w odkrywczym referacie „Trylogia H. Sienkiewicza — arcydzieło polskiej powieści historycznej” prof. L. Ludorowski nawiązując do wcześniejszych własnych badań, przekonująco dowiódł, że wspaniały arcyzm cyklu trylogicznego ma swoją antologiczną podstawę w niezwykle złożonej, bogatej i jednocześnie zindywidualizowanej strukturze — tzn. sumie żywiołów gatunkowych, która współtworząc olśniewający zestrój estetyczny i całą

zwielokrotnioną polifonię aksjologiczną jest w istocie narodowym eposem powieściowym ewokującym najwyższe wartości narodowe i ogólnoludzkie. Widzenie więc w arcydziele Sienkiewicza eposu, który wartości patriotyczne (a nie nacjonalistyczne) przekształca (jak każda epopeja) w wartości ponadczasowe, może być z powodzeniem przedmiotem szkolnej interpretacji.

Wystąpienie prof. dr. hab. Ewy Kosowskiej (Katowice) przyniosło wnikliwą analizę „Konstrukcji temporalnych w „Pociopie”. Autorka przekonująco wykazała mistrzowski sposób zrekonstruowania przez pisarza świadomości czasowej swojej epoki. Dydaktyczny motyw referatu wskazywał na potrzebę wzbogacenia szkolnej analizy części drugiej cyklu o próbę rozpoznania wieločasowości „Pociopu”.

Znany historyk, prof. dr. hab. Marcei Kosman (Poznań), w interdyscyplinarnym referacie pt. „„Krzyżacy” Henryka Sienkiewicza, powieść o wielkiej i świętej przeszłości” — przedstawił interesujące rozważania o faktografii źródłowej tego arcydzieła, sposobach ich fabularyzacji w procesie artystycznym komponowania utworu. Podkreślił także mistrzowską kreację iluzyjnej dawności, jaką osiągnął pisarz w swojej „powieści jubileuszowej” i proponował wprowadzenie do szkolnego przerabiania „Krzyżaków”.

W programie konferencji nie zabrakło wystąpienia poświęconego najślawniejszej polskiej powieści na świecie

„Quo vadis?”. Jednego z tych arcydzieł, które zna ludzkość, a lekceważy niestety polska współczesna szkoła. Dr Teresa Świętosławska (Łódź) omówiła „Inspiracje biblijne w „Quo vadis?”, wskazując rozległy zakres występowania motywów „Świętej księgi” w chrześcijańskiej epopei Sienkiewicza. Zagadnienia te nie powinny być pomijane w analizie szkolnej powieści.

Dwa pozostałe referaty zaprezentowały problematykę komparatystyczną, dość rzadko podejmowaną we współczesnych badaniach. W pierwszym z nich prof. dr. hab. Bogumiła Kosmanowa porównała Kraszewskiego i Sienkiewicza, zestawiając podstawowe podobieństwa i przeciwieństwa obu wielkich twórców literatury narodowej. Natomiast stosunek Wańkowicza wobec autora „Trylogii” przypomniał i ocenił dr. Kazimierz Przybyły z Krakowa poświęcony porównaniu Prusa z Sienkiewiczem) stanowiły cenny przykład możliwości i potrzeby wprowadzenia rozważań komparatystycznych w szkolnej dydaktyce. Zaś referat mgr Małgorzaty Kowalik pt. „O noweliście H. Sienkiewicza” zawierał uzasadniony postulat wprowadzenia do praktyki szkolnej lektur dotąd niesłusznie pomijanych, takich jak „Pójdźmy za Nim” czy „Na Olimpie”.

W dyskusji głos zabierali badacze i nauczyciele polonisci, a z programem słowno-muzycznym pt. „Obiektywna nieprawda, czyli obraz dzieł odwrócony do góry nogami” wystąpiła młodzież z I LO w Łańcutie, ujmując publiczność swoim pokazem. Podkreślamy, że młodzież ta włożyła w budowę i zaistnienie XI Ogólnopolskich Spotkań Sienkiewiczowskich poważne traktowanie literatury, świeżość uczuć do Patrona, własne umiejętności i owocną pracę. Zasluguje to na godne i zaangażowane kontynuowanie oraz naśladowanie.

MAŁGORZATA KOWALIK

Organizatorami tegorocznego spotkania byli: II Liceum Ogólnokształcące im. H. Sienkiewicza w Łańcutie, Ogólnopolskie Towarzystwo im. H. Sienkiewicza — Zarząd Główny w Lublinie i Muzeum H. Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej (przy współudziale rzeszowskiego kuratorium oświaty oraz władz miejskich i instytucji kulturalnych w Łańcutie) pod honorowym patronatem wojewody rzeszowskiego dr. K. Surowca.

UWAGA!

OBOWIĄZKOWE KSZTAŁCENIE KOMUNIKACYJNE

Pod wrażeniem wielu wypadków, w których giną uczniowie — Ministerstwo Edukacji Narodowej, Komenda Główna Policji oraz Zarząd Główny Polskiego Związku Motorowego zaapelowali w lipcu do nauczycieli i innych pracowników oświaty o szczególne zwrócenie uwagi na bezpieczeństwo dzieci i młodzieży — uczestników ruchu drogowego.

Zwiększający się ruch na drogach naszego kraju — pisał w liście — wyznacza bardzo wysoką cenę dla uczestniczących w nim i nie przestrzegających powszechnie przyjętych zasad wspólnego korzystania z dróg. Tą ceną jest coraz częściej życie młodego człowieka lub jego trwałe inwalidztwo. Oprócz nieznanomości zasad ruchu drogowego często przyczyną wypadków jest ich lekceważenie, a także brak nawyków bezpiecznego zachowania się na drogach publicznych.

Każdego roku tracą życie setki dzieci, a tysiące zostaje rannych. Tylko w jednym roku 1993 na drogach zostali zabici uczniowie (w wieku 7—17 lat) z 21 klas liczących średnio po 22 osoby, natomiast rannych zostało ponad 10 tys. uczniów, czyli uczniowie 17 szkół liczących po 600 osób. Ilu z nich zostanie kalekami i niepełnosprawnymi na całe życie?

ZAPROSILI NAS

Związek Harcerstwa Polskiego na konferencję prasową poświęconą 50. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego

Australijska SOT — Szkoła Myślenia — Fundacja Naukowa na spotkanie informacyjne do Zakładu Doskonalenia Zawodowego przy ul. Podwale w Warszawie

Muzeum Niepodległości w Warszawie na otwarcie wystawy „Kobiety w Powstaniu Warszawskim”

Kurator oświaty w Gorzowie Wlkp., Zarząd Miasta i Gminy w Trzcielu, Społeczny Komitet Budowy Szkoły oraz dyrekcja Szkoły Podstawowej w Brójcach na Wojewódzką Inaugurację nowego roku szkolnego 1994/95 do Brójc

NIE ZWLEKAJ Z PRENUMERATĄ!

Czas szybko płynie. Przypominamy więc Wam, drodzy Czytelnicy i Sympatycy naszego tygodnika, że tylko prenumerata zapewnia stały kontakt z nami. IV kwartał się zbliża. Trzeba zatem już dziś pomyśleć o zamówieniu „Głosu Nauczycielskiego”, zwłaszcza że jednostki kolportażowe „Ruchu” przyjmują prenumeratę tylko do 20 sierpnia, a urzędy pocztowe i listonosze do 25 sierpnia.

działu związkowego i interwencji), Alfred Zieliński (sekr. red.), Barbara Dziedzic (kier. działu administracji), Izabella Żabik (dział kolportażu), korekta — Małgorzata Gościńska, Zofia Rozum. Współpracują: Maria Aulich, Lechosław Gawrecki, Janusz Gęsiński, Krzysztof Karulak, Jerzy Korkozowicz, Wojciech J. Podgórski, Jan Trynkowski. Nakładem Wydawnictwa „Głos Nauczycielski”. Dyrektor Wydawnictwa — Wojciech Sierakowski.

UNIWERSYTET ZACZYNA SIĘ W PRZEDSZKOLU

Śledząc stanowiska nauczycieli na łamach „Głosu” na temat zmiany statusu pracy nauczycieli przedszkoli popieramy propozycję w ustawie o systemie oświaty zgłoszoną przez Zarząd Główny ZNP — aby nauczyciele przedszkoli zyskali status pracownika państwowego.

Uważamy, że nie należy dzielić nauczycieli na samorządowych i państwowych. Mając na uwadze przede wszystkim dobro dziecka twierdzimy, że niesłuszne i niesprawiedliwe jest podważanie autorytetu nauczycieli przedszkola. Dlaczego ludzie z takim samym wykształceniem pedagogicznym tylko dlatego, że pracują z dziećmi 3—6-letnimi, mają być uważani za tych gorszych?

Wyrażamy nadzieję, że nasza prośba nie pozostanie bez echa.

Zespół Pedagogiczny
Przedszkola z Lubyczy Król.
(6 podpisów)

WSPOMNIENIE

JÓZEF LESZCZYŃSKI

Odszedł w tym roku późną wiosną, w wieku 87 lat. Pochowany został w Otwocku. Całe życie był związany z oświatą. Rozpoczął pracę w Mławie jako absolwent tutejszego Seminarium Nauczycielskiego. Tu też pełnił obowiązki kierownika organizacyjnego Oddziału ZNP w latach 1932—1938. Ostatnie dwa lata przed wojną pracował w Zarządzie Głównym Związku w Warszawie. Podczas okupacji był zatrudniony w „Społem” w Warszawie, Stąpnicy i Nowym Sączu.

Dwadzieścia dziewięć lat po wojnie aż do emerytury do 1974 roku był dyrektorem administracyjnym Sanatorium ZNP w Zakopanem, skąd przeniósł się do Otwocka. Ostatnich dwadzieścia lat życia, wolnych od pracy zawodowej, oddał bez reszty sprawie uwiecznienia na piśmie historii szkolnictwa w byłym powiecie mławskim. Opisuje czasy od powstania styczniowego 1863 roku aż do wybuchu wojny w 1939 roku.

Opuścił Mławę mając 31 lat. 56 lat żył poza nią, ale cały czas, a zwłaszcza podczas pobytu w Otwocku, sercem i duszą wracał do niej, do miejsca urodzenia, do czasów młodości. Jego opracowania historyczne są niespotykane, niepowtarzalne. Szkoda, że zachowały się tylko w maszynopisie. Znajdują się one w Bibliotece Narodowej w Warszawie i w Bibliotece PSS „Spójnia” w Mławie.

Józef Leszczyński oprócz odznaczenia Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski był wyróżniony medalem Komisji Edukacji Narodowej i Złotą Odznaką ZNP, a także odznaką „Za zasługi dla rozwoju miasta Mławy”.

Adres redakcji: ul. Juliana Smulikowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: 26-34-20, 27-66-30. Centra: 26-10-11, Telex: 81-68-96, Fax: 26-34-20

ŁATWIEJSZY WYBÓR

W tym roku kandydaci na studia mogli składać dokumenty na kilka uczelni i wydziałów, potrzebny był jedynie notarialnie potwierdzony odpis świadectwa dojrzałości. Po zaplaceniu ustalonej przez MEN opłaty egzaminacyjnej, w wysokości 200 tys. zł, kandydaci mogli startować na wyznaczony przez siebie kierunek. Wiele korzystając z możliwości wyboru składało dokumenty na trzy albo więcej kierunków studiów, mając nadzieję, że chociaż na jeden się dostaną.

Na najstarszą uczelnię w Polsce Uniwersytet Jagielloński w Krakowie zgłosiło się aż 7244 kandydatów, a zostały przyjęte 2474 osoby. Najbardziej popularne wydziały w tym roku to prawo, gdzie o jedno miejsce starało się aż 5 kandydatów, filologia włoska z ośmioma osobami na jedno miejsce, filologia hiszpańska, gdzie o jedno miejsce starało się 7 kandydatów, oraz psychologia i nauki polityczne z czterema osobami walczącymi o jeden indeks. Dużą popularnością cieszyły się także kierunki studiów, na które nie zorganizowano egzaminu wstępnego. Na bibliotekoznawstwo, gdzie przeprowadzono jedynie konkurs świadectw, o jedno miejsce starało się aż 7 osób. Mniejszą popularnością cieszyły się zaś fizyka, astronomia, filologia rosyjska i ukraińska, filologia słowiańska, filologia rumuńska i geologia, na których przeprowadzono jedynie rozmowę kwalifikacyjną. Zdaniem **Andrzeja Kocemby**, głównego specjalisty w dziale nauczania Uniwersytetu Jagiellońskiego, poziom przygotowania uczniów do egzaminów wstępnych z roku na rok pogarsza się. Niestety nie był on

w stanie wskazać przyczyn tego niepokojącego zjawiska.

Nie cieszyły się dużą popularnością wśród młodzieży pięcioletnie dzienne studia na Wydziale Rewalidacji i Resocjalizacji **Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej im. M. Grzegorzewskiej w Warszawie**: o 220 miejsc starało się jedynie 300 kandydatów.

Maria Raczy, sekretarz komisji rekrutacyjnej **Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie**, zaobserwowała niepokojące zjawisko. Stwierdziła ona, iż bardzo słabo przygotowani byli do egzaminu wstępnego nauczyciele chcący studiować na trzyletnich studiach pedagogicznych organizowanych dla absolwentów Studium Nauczycielskiego. Znacznie lepiej przygotowani do egzaminu byli absolwenci szkół średnich startujący na różne kierunki uczelni. Na **WSP w Rzeszowie** startowało około 3300 osób, a zostało przyjętych 1700. O dziwo, najbardziej popularne kierunki to matematyka, wychowanie fizyczne i pedagogika.

Wyższa Szkoła Rolniczo-Pedagogiczna w Siedlcach, przystosowana do przyjęcia osób niepełnosprawnych, otworzyła swoje drzwi w tym roku dla 17 kandydatów sprawnych inaczej. Najczęściej nie dowiadujących, niewidomych, nie dosłyszających i głuchych a także z porażeniem mózgowym. Na studia dzienne zdawało 1223 kandydatów, a zostało przyjętych 702, na zaoczne 1050 na 627 miejsc. Największą popularnością wśród młodzieży cieszyła się pedagogika ze specjalnością opiekuńczo-wychowawczą oraz trzyletnie studia zaoczne: pedagogika ze specjalnością nauczania początkowego, gdzie pomimo konieczności zaplacenienia 3 mln zł za se-

mestr starało się o jedno miejsce aż 5 kandydatów — najczęściej nauczycieli.

O 2536 miejsc na **Uniwersytecie Łódzkim** walczyło 6577 osób. Jak nas poinformowała **Mirosława Tomczyk**, zastępca kierownika działu nauczania, największą liczbę kandydatów zanotowano na pedagogice wieku dziecięcego (6 na jedno miejsce), archeologii i etnografii (5 na jedno miejsce) prawie i administracji oraz pedagogice (na które starały się po 4 osoby). Dużym zaskoczeniem dla władz uczelni była także olbrzymia popularność wprowadzonego w tym roku nowego kierunku studiów na wydziale geografii. Aby studiować turystykę i hotelarstwo trzeba było pokonać czterech konkurentów.

Tradycyjnie dużą popularnością cieszyły się kierunki studiów na **Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu**. O 136 miejsc na wydziale lekarskim starało się 696 osób, na stomatologię zaś o 73 miejsca 247 kandydatów. Mniejszą popularnością cieszyła się farmacja oraz analityka medyczna. Na ten drugi kierunek o 29 miejsc starało się jedynie 32 kandydatów, ale... przyjęto 11. Zdaniem **Ewy Ruszkowskiej** było to spowodowane niskim poziomem przygotowania kandydatów na studia. 6 września zostanie przeprowadzona rekrutacja, która mu uzupełnić liczbę kandydatów. Podobna sytuacja wystąpiła także na zaocznych studiach — zdrowie publiczne.

O indeks na wydziałach ekonomii i zarządzania **Akademii Ekonomicznej w Katowicach** starało się 2119 kandydatów, a przyjęto 1056 osób (w tym 76 na wyższe studia zawodowe na kierunek ekonomia ze specjalnością polityka społeczna, które umożliwiają zdobycie stopnia licencjata).

Na początku lipca miałem okazję obserwować egzaminy wstępne na **Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego**. O 100 miejsc na biologię i 30 na biotechnologię w wielkich upałach walczyło 274 kandydatów. Okazało się, że aż 112 absolwentów szkół średnich złożyło jednocześnie dokumenty na **Akademii Medycznej w Warszawie**, a wielu na Wydział Chemii UW, który zorganizował w tym roku tylko konkurs świadectw. Kandydaci musieli rozwiązać test 100 pytań z biologii, a następnego dnia 75 z chemii. Po poprawieniu wyników testów z listy zostało skreślonych 70 osób. Reszta dopuszczona była do egzaminu ustnego. Po przejściu tych etapów na wydziale wywieszono listę rankingową 130 szczęśliwych studentów. Szybko jednak okazało się, że co jakiś czas musiała ona być aktualizowana, bowiem codziennie odbierali dokumenty ci, którzy dostali się na medycynę. Komisja Rekrutacyjna postawiła kandydatom warunek: aby pomyślnie przejść rekrutację trzeba było dostarczyć do dziekanatu oryginał świadectwa dojrzałości. Po kilku dniach okazało się, że około 30 osób, które znalazły się na liście przyjętych, zrezygnowało z tych studiów. Dostali się bowiem na Akademię Medyczną. Komisja Rekrutacyjna cierpliwie weryfikowała ustaloną listę rankingową. Wolne miejsca zajmowały osoby, które znalazły się na liście rezerwowej. Szansa stworzona przez władze uczelniane — możliwości składania dokumentów na różne kierunki studiów — została bardzo ciepło przyjęta przez młodzież. Zwiększyła prawdopodobieństwo dostania się na studia. Umożliwiła lepszym uczniom, nawet po powinięciu się nogi na jednym egzaminie, startowania gdzie indziej. Uczeń dobry, który nie dostał się na oblegane wydziały Akademii Medycznej, mógł zamiast ustawić się w kolejce do pośredniaka ponownie startować na studia. Mamy nadzieję, że podobna szansa zostanie stworzona także przyszłorocznym kandydatom na studia.

MAREK KOZUBAL

może. Każdy bowiem uczeń korzysta z nauki szkolnej w takim zakresie, w jakim chce i może, i jest to sprawa indywidualna. Nic tu moim zdaniem nie pomaga działania grupy, zespołu klasowego, nawet w takim wypadku, gdyby grupa uznała za stosowne takie działania podjąć. Widzę tu ponadto przejaw niewygasłej wiary w potęgę statystyki, która niewiele mówi o rzeczywistości, a na pewno jej nie tłumaczy, szczególnie tak skomplikowanej rzeczywistości jak wychowawcza. Może by więc zrezygnować z miesięcznych i rocznych wyliczank obecnosci i nieobecności klasy i ograniczyć się do liczenia nieobecności poszczególnych uczniów jedynie w aspekcie indywidualnym zajmować się problemem absencji szkolnej w pracy z uczniami, rodzicami, zespołem klasowym.

ANNA JAROTA

IRRACJONALNE RUBRYKI

Od dłuższego czasu usilnie dążymy do szkoły dobrej, nowoczesnej, racjonalnej. Dobrze to nam wychodzi na płaszczyźnie słów, projektów i założeń, gorzej w sferze praktyki.

Na poparcie prawdziwości mojej opinii pragnę zająć się szczegółem pracy wychowawcy klasy, do jakiego obliguje go dziennik klasowy. Otóż pod koniec każdego miesiąca wychowawca musi liczyć, ile w sumie godzin lekcyjnych opuścili jego uczniowie,

a następnie wyliczyć, jaki stanowi to procent ogółu godzin lekcyjnych, jakie odbyły się w danym miesiącu. Uzyskuje się w ten sposób tzw. frekwencję klasy, która na ogół wynosi około 90 proc. Zastanawiałam się nieraz, do czego ma to służyć w praktyce szkolnej i dalebóg nie wiem. Być może nie starcza mi wyobraźni, by znaleźć racjonalne uzasadnienie tych wyliczank poza udręceniem nauczycieli-wychowawców.

W intencji pomysłodawców takich dziennikowych rubryk miała zapewne ta wyliczanka służyć podniesieniu frekwencji, inaczej — zmniejszeniu absencji uczniów na zajęciach. Jednak walor motywacyjny tego wyliczenia w stosunku do opuszczających zajęcia uczniów jest moim zdaniem znikomy, jeśli nie żaden. Czy dlatego, że klasa ma zmniejszony lub zwiększony procent uczestnictwa w zajęciach szkolnych, Kuba przestanie chorować, a Justyna, która ma fobię szkolną, nagle zacznie z ochotą uczęszczać do szkoły? W wierze w motywacyjny walor wyliczank widzę relikty przeszłości, i to nie zawsze najlepiej się kojarzące.

Motywacja odwołuje się do myślenia kategoriami grupy, do więzi grupowej, która w tym przypadku jest nieskuteczna, bo skuteczna być nie

DORADCA JAK PEREŁKA

Właściwie to miałem zamiar dać tytuł dla tych kilku uwag „Jak kształcić i wychowywać wzorowych metodyków”, ale wydał on mi się nieadekwatny, bo kształcić i wychowywać należy wszystkich nauczycieli. Zaś z morza nauczycielskiej przeciwności jak perły należy wyłaniać najlepszych. Prawdopodobnie to zaszczytne miano metodyka (nauczyciela-doradcy) nosi dziś niekoniecznie nauczycielska śmietanka intelektualna z tej racji, że dobry specjalista często odmawia pracy w WOM, lepiej czując się w bezpośredniej pracy z klasą szkolną, a ktoś jednak etat zając musi. Powstają więc paradoksy, że do nauczyciela z III stopniem specjalizacji i autora wielu opracowań metodycznych przyjeżdża nauczyciel-doradca bez specjalizacji zawodowej, aby się dopiero od tego nauczyciela uczyć, a przecież przepływ informacji powinien przebiegać w odwrotnym kierunku.

Z mojej wieloletniej obserwacji wynika, że najefektywniejsze zarządzanie oświatą w rejonie i naj-

skuteczniejsza pomoc metodyczna dla nauczycieli była za tradycyjnych powiatów (zlikwidowanych w 1975 roku). Był bowiem Powiatowy Inspektorat Oświaty i Powiatowy Ośrodek Metodyczny. Dziś jednak, kiedy oficjalne władze państwowe są przeciwnie reaktywowaniu powiatów na rzecz — jak twierdzą — wzmocnienia samorządów terytorialnych, przedarcie się z taką tezą, że reaktywowanie powiatów może usprawnić i ożywić szkolnictwo i całą sferę oświatową, jest jakby nie na czasie.

A jednak powrót do Polski powiatowej może posunąć do przodu wiele w życiu społeczno-gospodarczym kraju, w tym także oświaty. Nie wiem, jak jest w innych regionach naszego kraju, ale w Nowosądeckim chciałem zebrać informacje na temat nauczycieli nowatorów (twórców) postępu pedagogicznego. Najprościej byłoby sięgnąć do komputerowego banku informacji. Jednakże takim bankiem nie dysponuje ani Kuratorium, ani WOM czy Wojewódzka Biblioteka Peda-

gogiczna, chociaż ta ostatnia kilka lat temu podjęła pierwsze próby zebrania nieco informacji na temat nauczycieli piszących. Tym ciężiej mi o tym fakcie pisać, że jestem zwolennikiem tzw. patriotyzmu lokalnego (Małej Ojczyzny). W Wojewódzkiej Bibliotece w Nowym Sączu jest dobry zaczątek wzmiankowanego banku informacji na temat nauczycieli-twórców postępu. Właśnie taki bank informacji powinien być pierwszym źródłem w trakcie poszukiwania dobrych nauczycieli-doradców. Oto jeżeli w takim banku informacji znajdujemy przykładowo dziesięciu nauczycieli nauczania początkowego z III stopniem specjalizacji zawodowej na terenie województwa, a wśród nich pięciu posiada liczne publikacje metodyczne, to z tą piątką należałoby najpierw prowadzić rozmowy, czy zechcą podjąć trud nauczyciela-doradcy. Dziś jednak często jest tak, że metodykiem można zostać nie mając nawet I stopnia specjalizacji zawodowej.

Zainteresowanie nauczycielami piszącymi przez władze oświatowe jest prawie żadne lub w znaczeniu negatywnym (skoro pisze, to widocznie nie ma co robić lub pisze jedynie z nudów — to autentyczne wypowiedzi władz oświatowych w terenie). Jak dotąd nie słyszałem, aby kogoś nagradzano za to, że jest autorem artykułów lub opracowań metodycznych. Spotkałem wielu nauczycieli, którzy mają dobry potencjał intelektualny i dużo dobrych doświadczeń pedagogicznych, ale, jak twierdzą, lepiej się nie wychylać, bo jak ktoś coś napisze, to zwraca na siebie uwagę i ma dodatkowe wizytacje, lustracje, kłopotliwe wizyty.

Dobry nauczyciel-doradca jest perełką intelektualną z następujących powodów:

● jest to najpierw wybitny student na danym kierunku studiów (dyplom z wyróżnieniem lub bardzo dobry),

● następnie jest to znakomity nauczyciel (o rozległej wiedzy psychologiczno-pedagogicznej i fachowej w danej dziedzinie oraz znakomity metodyk, wciąż

BIEDNY TRACI PODWÓJNIE

Sonda telefoniczna, przeprowadzona pod koniec lipca, na temat remontów placówek oświatowych w czasie wakacji, nie pozostawia żadnych złudzeń: bieda w naszym szkolnictwie aż piszczy. Toteż pytanie o przebieg remontów wywoływało u moich rozmówców na ogół zdziwienie...

— Jak tu mówić o remontach, gdy brakuje pieniędzy na tak podstawowe wydatki, jak opłaty za opał, prąd, gaz, wodę, telefony — mówi **Anna Reca**, **dyrektorka Wydziału Ekonomicznego Kuratorium Oświaty w Toruniu**. — Koszty te wynoszą w skali naszego województwa 13 mld zł miesięcznie. W pierwszym półroczu, jak łatwo obliczyć, powinniśmy przekazać naszym placówkom na ten cel 78 mld zł, a przekazaliśmy tylko 7 mld zł. Wysyłamy więc do ministerstwa błagalne monity, bo zadłużenie szkół rośnie w tempie galopującym. Niektóre placówki starają się ciężar tego długu nieco zmniejszyć, podejmując działalność gospodarczą. Zwykle jednak zadłużenie jest większe, niż wynika to z dokumentacji, ponieważ wielu kontrahentów dostarcza rachunki dopiero wtedy, gdy do szkoły „spłyną” jakieś pieniądze.

Jak poinformowała **Anna Reca**, w kuratorskich placówkach oświatowych województwa toruńskiego przeprowadzany jest załadowany jeden remont kapitalny, i to tylko dlatego, że został rozpoczęty jeszcze w ubiegłym roku.

Czyżby zatem szkoły w ogóle nie były odnawiane w czasie wakacji? Kuratoria nie dysponują dokładną informacją na ten temat, ponieważ placówki prowadzą obecnie remonty z ogólnych budżetów własnych. Nie ma w nich wydzielonej puli na naprawy. Jednak z rozeznania moich rozmówców wynika, że jeśli już coś się robi w szkołach w lipcu i sierpniu, to jest to najwyżej „drobna kosmetyka”: pomalowanie paru klas czy niewielkie prace stolarskie. Zwykle cały remont ogranicza się tylko do tego, co jest najniezbędniejsze, najczęściej naprawy przeciekającego dachu. Chyba że dyrektor wykaże inicjatywę i przedsiębiorczość i potrafi zdobyć pieniądze na remont szkoły ze środków pozabudżetowych, to jest od rozmaitszych sponsorów.

— Możliwości są tu całkiem spore — informuje **Stanisław Pawlaszczyk**, **dyrektor Wydziału Ekonomiczno-Administracyjnego Kuratorium Oświaty w Wałbrzychu**. — Jeśli placówka ma starą kotłownię, to może się ubiegać o pieniądze na jej modernizację z fun-

duszków na ochronę środowiska, jeśli mieści się w budynku zabytkowym, to ratunku może szukać w resorcie kultury. Szkoły wiejskie mogą się zwrócić o pomoc do fundacji rozwoju wsi placówki integracyjne czy specjalne — do pełnomocnika do spraw osób niepełnosprawnych itd.

Niestety, szefów placówek oświatowych, którym udaje się zdobyć takie dodatkowe pieniądze, jest niewielu. Na ogół szkoły nie mają środków na remonty i ich nie przeprowadzają, i to od wielu lat. Skutki są już widoczne. Władze kuratorskie z coraz większym niepokojem obserwują postępującą dekapitalizację obiektów oświatowych.

— Coraz więcej placówek zgłasza potrzebę przeprowadzenia remontów generalnych — mówi **Danuta Maciejewska**, **dyrektorka Wydziału Ekonomicznego w płockim Kuratorium**. — To wynik wieloletnich zaniedbań. Nie reperowaliśmy na bieżąco dachów i nie konserwowaliśmy systematycznie urządzeń centralnego ogrzewania. Rezultat? Mamy teraz awarię za awarią. Biedny traci podwójnie.

Właśnie stworzenie takiego funduszu awaryjnego stało się koniecznością w większości kuratoriów. — Chodzi o niedopuszczenie do sytuacji zagrażającej bezpieczeństwu dzieci, jak też o przypadki, w których zaniechanie naprawy mogłoby spowodować dewastację budynku i w efekcie konieczność zamknięcia szkoły — wyjaśnia **Stanisław Pawlaszczyk**. Niestety, z powodu ogólnej zapaści finansowej ten fundusz nie jest wystarczająco wysoki, aby w razie jakiegś poważnej awarii można było z niego pokryć wszystkie koszty naprawy czy wymiany urządzeń. Służy on raczej do finansowania najpilniejszych wydatków obojętnych, które muszą wyasygnować ze swoich budżetów szkoły bądź gminy. Wysokość tego funduszu waha się od 2,5 mld zł (na przykład w Lesznie) do 12 mld (w Wałbrzychu).

Nasuwa się jeszcze jeden znamieny wniosek: placówki oświatowe, które przeszły pod zarządek gmin, wygrały, przynajmniej jeśli chodzi o intensywność prac remontowych. Władze samorządowe bowiem bardzo często przeznaczają na odnawianie szkół dodatkowe kwoty z własnych dochodów. Połączenie środków gminnych i państwowych pozwala na przeprowadzenie już solidnego remontu, którego koszt waha się dziś od 0,5 do 1 mld zł.

WITOLD SALAŃSKI

uzupełniają tę wiedzę na drodze samokształcenia i konfrontacji teorii z praktyką).

Jest to dobry znawca historii wychowania i myśli pedagogicznej, aby umiał realnie ocenić, co jest autentycznym nowatorstwem pedagogicznym na przestrzeni dziejów i jak to się ma do tego co on sam robi i robią inni nauczyciele. W ten sposób ma on tzw. smykałkę pedagogiczną (iskrę bożą) do podejmowania eksperymentów pedagogicznych, które dają pożądane rezultaty, następnie jest to umysłowość przewidująca (np. gdy organizuje praktyczne działanie nowatorskie, to wie, jak postawić hipotezę roboczą, jak zbierać wartościowy materiał informacyjny do opracowań statystycznych i jakościowych i jak sensownie doprowadzić do jego opisu w formie publikacji).

Dość często jednak w środowiskach nauczycielskich spotykamy ludzi, którym jednej z wymienionych cech brakuje (najczęściej umiejętności pisarskich, tym bardziej trzeba ją doceniać). Ta umiejętność syntezy w formie pisarskiej wymaga niekiedy wieloletniego żmudnego treningu. Miał tę umiejętność w stopniu doskonałym znany filozof, logik i prakseolog **TADEUSZ KOTARBIŃSKI** i dużo sam na ten temat

pisał, m.in. w pracy „Sprawność i Błąd”.

Droga od znakomitego studenta, poprzez świetnego nauczyciela poprzez specjalizację zawodową (I, II i III stopnia), poprzez autorstwo znakomych artykułów metodycznych publicystycznych a nawet wycinkowych odkryć naukowych, doktorat, habilitację, pracę itd. — powinna być na każdym szczeblu przez władze oświatowe a dziś także samorządowe dostrzegana, oceniana i nagradzana.

Opisana metoda wyławiania nauczycieli-metodyków społecznie się opłaca, bowiem tacy ludzie to ogromne dobro narodowe, o które trzeba z należytym szacunkiem dbać.

Dziś nauczyciel-metodyk wpłaszcza się niejako do nauczyciela, aby mu udzielił porady metodycznej. Trzeba to prawnie i finansowo zmienić, aby nauczyciel szukał dobrego metodyka, który mu pomoże zostać mistrzem w zawodzie (ułatwi drogę do specjalizacji i dalszej doskonałości w zawodzie).

MARIAN JANIGA

ZA CO UPRAWIAĆ NAUKĘ?

MINĘŁA debata sejmowa, zwana oświatową — najpierw nad stanem edukacji, a potem na temat nowelizacji ustawy oświatowej. Jesienią według planów sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego powinna się odbyć debata na temat szkolnictwa wyższego i nauki. Powinna, lecz w zaplanowanym przez Prezydium Sejmu planie plenarnych posiedzeń niestety zabrakło miejsca na tę problematykę.

Pora więc sprowokować dyskusję, włożyć przysłowiowy kij w „mrowisko”. Jestem przekonany, że w mrowisko, nawet bez cudzysłowu. Dotyczy przecież dość hermetycznego, w określony sposób zorganizowanego środowiska. Trzeba zastanowić się nad jego systemem organizacyjnym, nad formami jego funkcjonowania, nad tym jak przeciętny zjadacz chleba rozumie

pojęcie: nauka.

Jest oczywiste, że w tej ostatniej sprawie mieszkańcy Puław czy Kórnik pomyślą o istniejących tam instytucjach naukowych, zaś mieszkańcy Zielonej Góry, Siedlec, a nawet Olsztyna skojarzą to pojęcie z tamtejszymi szkołami wyższymi. I oto pierwszy problem gotowy: która z tych form uprawiania nauki jest właściwsza? Czy i w jakim zakresie naukę uprawiają szkoły wyższe, a w jakim zakresie instytucje pozauczelniarne. Czy nauka ma być użyteczna? Jeśli użyteczna, to może właściwszymi organami będą jednostki badawczo-rozwojowe! One to w dotychczasowym układzie są najbliższe użytecznych prac naukowych.

W tym miejscu trzeba bliżej przedstawić zadania tych trzech grup instytucji naukowych.

Uczelnie wyższe

mają głównie kształcić na poziomie wyższym. Wymaga to, by studenci wyższych lat studiów zapoznawali się z metodami badań naukowych, by uczestniczyli w rozwiązywaniu naukowych problemów. Nie ulega więc wątpliwości, że nauczyciele akademicki muszą nieodrodnice prowadzić prace naukowe. Dla utrzymania właściwego, wysokiego poziomu naukowego nauczycieli akademickich Ustawa o Szkolnictwie Wyższym nakłada wręcz na pomocniczą kadrę naukową, asystentów i adiunktów obowiązek wykonania w określonym terminie prac kwalifikacyjnych.

Wynika z tego, że szkoła wyższa spełnia dwie funkcje: kształci

i prowadzi badania naukowe, ponadto w procesie kształcenia i prac badawczych wychowuje człowieka o szerokich horyzontach myślowych.

Zadaniem instytutów naukowych pozauczelniarnych jest prawie wyłącznie prowadzenie badań naukowych.

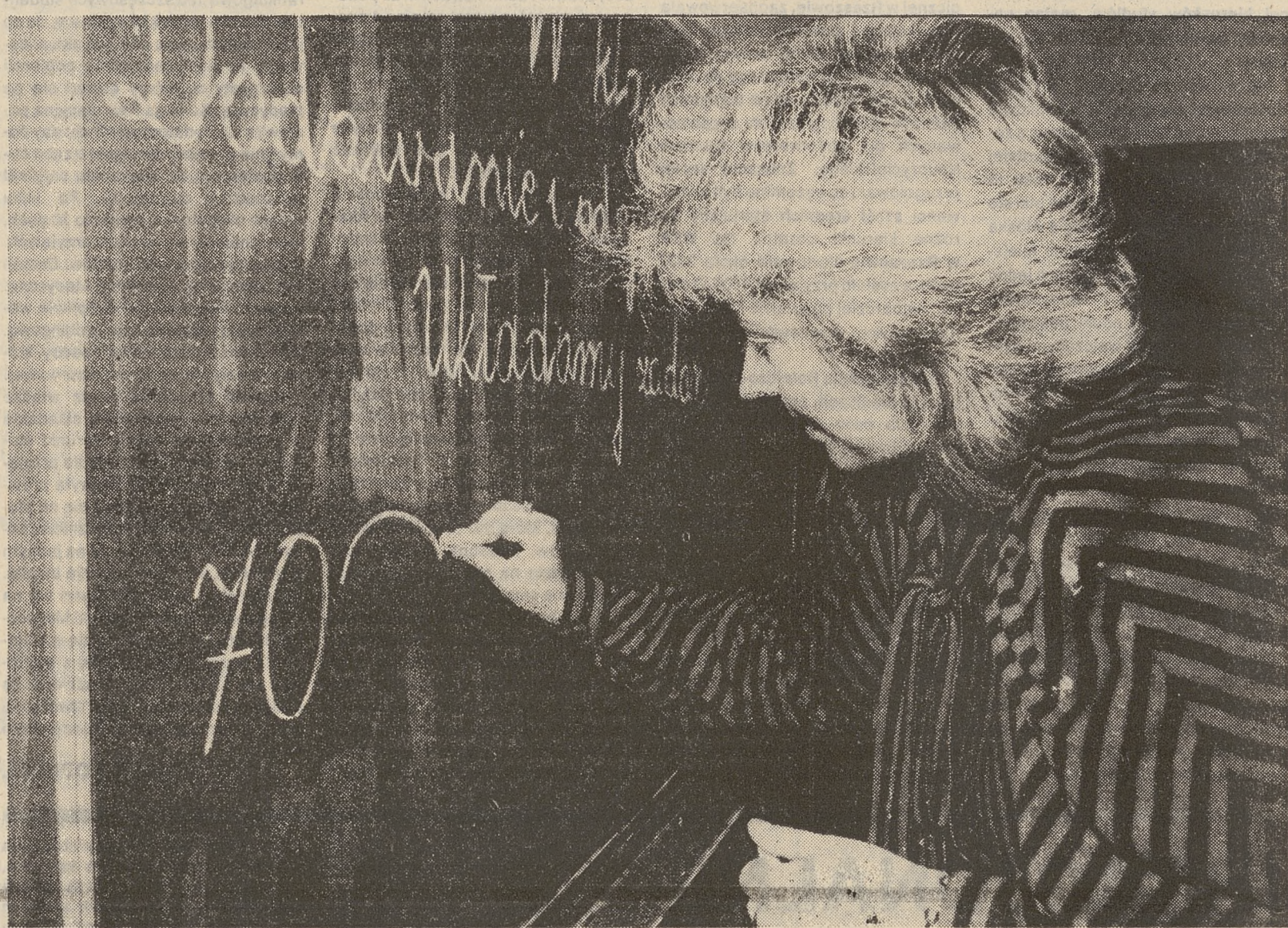
Z takiego układu szkoły wyższe powinny być zadowolone, gdyż przysługują im finansowanie z dwóch źródeł: z Ministerstwa Edukacji Narodowej i Komitetu Badań Naukowych. Instytuty pozauczelniarne finansowane są wyłącznie przez KBN.

A jak przedstawia się to w rzeczywistości? Jak kształtują się potencjały naukowe w tych środowiskach? Szkolnictwo wyższe według stanu na czerwiec br. zatrudnia 69,75 proc. wszystkich samodzielnych pracowników naukowych, a pozostałe instytucje naukowe 30,25 proc. Tymczasem finanse przewidziane na naukę rozdzielone są dokładnie odwrotnie. Według danych Komitetu Badań Naukowych, szkoły wyższe otrzymały w roku 1993 na swą podstawową działalność naukową 32,9 proc. środków przeznaczonych na ten cel. W przypadku uwzględnienia wszystkich wydatków na naukę, proporcje te stają się jeszcze mniej korzystne dla szkół wyższych. Nawet gdy przyjmie się, że nauczyciel akademicki może na badania naukowe przeznaczyć tylko niewiele ponad połowę czasu pracy, gdyż w jednej trzeciej obciążony jest nauczaniem studentów, to i tak nie da się uzasadnić takiego podziału środków.

Na tym tle jawi się problem finansowania nauki. Odbiorcy, a może raczej jawnego omówienia wymagają stosunki wewnętrzne środowiska naukowego. O wasalnych stosunkach panujących pomiędzy „młodszym” (niższym stopniem), a „starszym” (wyższym stopniem) pracownikami naukowym wytworzyło się wiele mitów. Rozpowszechniły się one do tego stopnia, że wierzyli w to nawet niektórzy spośród grupy „starszych” pracowników naukowych. Uwierzyli?! A może wykrzystalizował ten mit do celów uprawiania polityki naukowej w państwie?!

Komitet Badań Naukowych ustanowił formę wspierania indywidualnych projektów badawczych, zwanych grantami. Mają one m.in. umożliwić naukowe wystartowanie „zahukany i zniewolony młodszym”. Tak przynajmniej uzasadnia się w programie działania KBN. I piszą o granty „młodzi” i „starsi” i spływają te tony papieru do stolicy.

Tylko ktoś zapomniał, że ten



Fot. Jan Balana

„młodszy” w naukach eksperymentalnych musi mieć współpracowników i tych może mu dostarczyć ten „starszy”. Zdarza się zatem tak, że taki „starszy” wystawia kilku „młodych” w biegu po granty KBN i w ten oto sposób organizuje środki na realizację swojej w gruncie rzeczy tematyki badawczej.

Czy ci samotni borykający się ze swymi naukowymi ideami nie mają żadnych szans powodzenia? Otóż nie. Gdy są samowystarczalni kadrowo, szczególnie w dyscyplinach naukowych o charakterze teoretycznym mogą oni mieć w tej formie finansowania faktycznie szanse ziszczenia swoich naukowych pomysłów. Jest to jednak liczebnie grupa niewielka. Czy dla niej trzeba utrzymywać aż tak obciążoną maszynę administracyjną?

Jaką więc rolę powinien odgrywać system grantów? Na pewno stymulacyjną! Czy jednak w warunkach skrajnego niedofinansowania nauki może to być główny

sposób? Czy granty nie powinny stanowić stosownego deseru po posiłku podstawowym? Lecz dzisiaj chodzi przede wszystkim o tę podstawową strawę, w postaci minimum finansowego dla polskiej nauki. System, który próbuje aktualnie rozpowszechniać KBN nie przystaje absolutnie do obecnego stanu finansowego naszego państwa i co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Przy kompletnym niedofinansowaniu szkół wyższych, które przecież kształcą przyszłe kadry naukowe, przy braku dla nich środków na strawę podstawową, nie można niektórym ich składnikom (elementom) proponować deseru. Tworzą się kominy grantowe i nędza aparaturowo-materiałowa. Coś tu postawiono na gło-

Państwowej Agencji Wdrożeń. Jej zadaniem byłoby finansowe wspieranie wdrożeń przemysłowych najbardziej znaczących z punktu widzenia ich wartości technicznej oraz opłacalności. Niezależnie od tego postulowano, ażeby wydatki przedsiębiorstw na prace badawczo-rozwojowe objęte były zniżkami i zwolnieniami podatkowymi — oto niektóre fragmenty artykułów. Tego typu uwag w okresie prac nad budżetem państwa na rok 1994 można by przytoczyć znacznie więcej.

Nakłady na naukę w okresie transformacji ustrojowej spadły do wielkości zagrażającej funkcjonowaniu tej dziedziny naszego życia publicznego. Mnożą się krytyczne uchwały senatów szkół wy-

● brak przejrzystości kryteriów i trybu podziału środków finansowych,

● brak wyraźnej sprecyzowanej polityki naukowej państwa.

W zakresie krytycznych poglądów w stosunku do finansowania badań naukowych warto jeszcze na koniec przytoczyć fragment stanowiska Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego z 19 maja 1994 r. „...Rada Główna Szkolnictwa Wyższego docenia w pełni te osiągnięcia Komitetu Badań Naukowych. Mamy także świadomość wielu niedociągnięć występujących przy realizacji w praktyce środków na badania. W wielu opiniach, które do nas docierają powtarza się zarzut niedostatecznego uwzględniania przez KBN po-

wie. Zresztą kształcenie i kształcenie się kadr naukowych w Polsce to problem oddzielny.

Niech tu przytoczony szereg wątpliwości pozwoli spojrzeć na jeden ze sposobów finansowania nauki polskiej przez pryzmat szkoły wyższej, kuźni kadr dla funkcjonowania państwa. A oto i inne poglądy na

ocenę systemu finansowania nauki.

W latach 1974—86 nakłady na naukę stanowiły 1,4 do 1,6 proc. produktu krajowego brutto. W tym roku stanowią 0,56 proc. W porównaniu z 1990 r. potencjał jednostek naukowo-rozwojowych zmniejszył się o ok. 50 proc.

„Dwa lata temu Ministerstwo Finansów zlikwidowało 27 placówek naukowo-badawczych. Zatrudnienie w istniejących zmalało o 49 proc. w stosunku do 1989 r.”

... odbyło się wczoraj spotkanie, podczas którego przedstawiciele lobby (przemysłowego — dop. moja) zaproponowali powołanie

ższych pod adresem organów założycielskich. Wiele uczelni stoi na progu niewypłacalności. Brak jest środków na płace i badania.

Negatywna ocena efektywności istniejącego systemu organizacji, zarządzania i finansowania badań naukowych (m. in. granty, Fundacja Nauki Polskiej) znajduje się również w raportach NIK, prasie i opiniach dużej części środowiska naukowego.

Te ostatnie grupy badaczy szczególnie krytycznie oceniają:

● daleko posuniętą centralizację finansowania nauki,

● podejmowanie decyzji w odniesieniu do każdej placówki naukowej z pominięciem jej organu założycielskiego,

● przejęcie przez KBN ogromnej ilości spraw szczegółowych, zarówno w zakresie BS, grantów, a także współpracy z zagranicą,

● słabe docenianie badań w zakresie poszukiwania nowych technologii i rozwiązań technicznych.

trzeb szkolnictwa wyższego”.

W opinii tego wysokiego gremium, nie chodzi wcale o to, by nie wprowadzać zmian finansowania i zmian doskonalenia funkcjonowania dystrybucji budżetowego grosza, ale o to, by nie pogorszyć istniejącej sytuacji.

Chociaż w konkluzji Rada Główna Szkolnictwa Wyższego opowiada się przeciw dokonywaniu rewolucyjnych zmian w sposobie finansowania nauki, to takie sformułowanie zastrzeżeń wyraźnie świadczy o powadze problemu.

Wniosek jest oczywisty: **sposób finansowania badań naukowych w szkolnictwie wyższym jest bardzo daleki od doskonałości.**

ZYGMUNT A. CYBULSKI

Autor jest profesorem w ATR w Bydgoszczy i posłem na Sejm RP II kadencji, członkiem Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego oraz ds. Układu Europejskiego, prezesem Federacji ZNP Szkół Wyższych i Nauki.

POCZTÓWKA Z WAKACJI

W PEŁNYM SŁOŃCU

Wczasowałem w Jastrzębiej Górze, w domu ZNP „Fregata”. Miałem szczęście — przez dwa tygodnie lipca grało słońce. Tego jeszcze na polskim wybrzeżu nie doświadczyłem. Owszem, były pogodne okresy — ale żeby przez czternaście dni bez przerwy lat się z nieba żar?!

Wiadomo — pogoda wywiera olbrzymi wpływ na nastroje. Więc

cieszyliśmy się wszyscy, że tak wspaniale trzyma wyż, że znowu pójdziemy na plażę, popalamy się, pokapiemy, pobiegamy, pogramy w piłkę, powypinamy torsy ku słońcu. Panie brązowały w oczach!

Kilka słów o samym domu: jest dwupiętrowy, wciśnięty między dwa inne ośrodki wypoczynkowe. Ciasno więc tu, dzieci nie mają placu zabaw, nie można wykreślić najmniejszego parkingu. Pokoje mniejsze i większe, z balkonami i bez, z umywalkami i bez umywalki. Jest duża sala telewizyjna, na

piętrach są sanitariaty i prysznice. Od dwóch lat funkcjonuje kawiarenka, z dobrą muzyką, świetnymi trunkami i innymi napojami. Można posiedzieć, pogawędzić, pokłócić się o sprawy oświatowe i związane, boć przecież w październiku kolejny zjazd.

Od kilku lat szefuje „Fregacie” pani **Barbara Oleksiak**. To dzięki niej i skromnemu personelowi, który zatrudnia, odpoczynek w tym domu jest miły i przyjemny.

— Staramy się przede wszystkim stwarzać dobrą atmosferę, dbać o czystość we wszystkich

pomieszczeniach, urozmaicać wyżywienie — mówi pani Barbara. — Idziemy na rękę poszczególnym wczasowiczom. Wiadomo, jedni na śniadanie lubią zupę mleczną, inni herbatę czy kawę. To samo dotyczy wędlin, serów, twarogów. Można wybierać. Podajemy też na stół wiele jarzyn, surówek, owoców. Chwalą nas za to i wczasowicze, i kontrolerzy ze stacji sanitarno-epidemiologicznych.

Ostatnio podczas kontroli otrzymaliśmy 27 punktów na 30 możliwych. To dobry wynik. Jak wiem żaden dom nie otrzymał więcej... Oczywiście są kłopoty. Po pierwsze — budżet. Personel musi się zdrowo nagimnastykować, aby ze skromnych środków finansowych utrzymać dom na dobrym poziomie. Płace obsługi są więcej niż skromne. Poza tym opłaty tu nie są wygórowane — skierowanie na dwutygodniowy pobyt wynosi 2,8

mln zł od osoby. Dzieci płacą połowę tej kwoty. Turysta, który przyjedzie indywidualnie płaci dziennie za pokój 110 tys. złotych, tyle samo za wyżywienie. W innych domach wczasowych stawki są znacznie wyższe. Ceny w pokoju bez umywalki kształtują się na niższym poziomie. Ceny w kawiarence konkurencyjne: herbata 3 tysiące, nieco tylko więcej kawa. Można sobie pozwolić!

Ostatnio przeprowadzono w domu remont: unowocześniono zaplecze kuchenne, zakupiono sporo mechanicznego sprzętu. Najbliższa przyszłość to dalszy remont. Przede wszystkim trzeba założyć umywalki we wszystkich pokojach, w niektórych być może uda się wykreślić łazienki. Problemem jest ciasnota otoczenia. Tymczasem dzieci tu przebywające powinny mieć choćby najskromniejszy pla-

king. W tej sprawie wysłży pisma do nowego burmistrza miasta — Tomasza Lesnera, ale odpowiedź była negatywna. Trzeba wciąż uzupełniać umeblowanie w pokojach. W przyszłości w domu trzeba też założyć centralne ogrzewanie: wtedy dom będzie mógł funkcjonować przez cały rok.

— W ten dom warto inwestować — dodaje pani Barbara. — Jest to nasz dom, nikt go nam nie odbierze, księgi wieczyste są bowiem uporządkowane.

Od siebie dodam, iż rzeczywiście w ten dom warto inwestować. Warto „Fregatę” unowocześnić, modernizować. Dom jest położony tuż nad morzem. Kilkadziesiąt kroków i plaża, czyste jeszcze morze, szum fal i piękne wschody słońca, jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne...

Tu można odpocząć, natykać się jodu, nabrać sił do dalszej pracy.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

W KRAINIE TRZECH RELIGII

BYLA to dla Żydów Ziemia Obiecana, później zwana Palestyną, a od 1948 roku — państwo Izrael. Ten skrawek ziemi na wschodnim brzegu Morza Śródziemnego stawał się przez wieki pastwą wielkich imperiów. Panowali tu na zmianę Asyria, Egipt, Babilon, Grecja, Rzym i Bizancjum, a potem Krzyżowcy, Mamelucy, Turcy i Brytyjczycy — wszyscy pozostawili fascynujące dowody swej bytności. Kolebka trzech monoteistycznych religii. Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie walczyli i modlili się o nią przez wieki. Później powracający ze wszystkich stron świata Żydzi przynieśli ze sobą różne obyczaje, tradycje, nawet sposoby ubierania się. To wszystko, razem z arabską i chrześcijańską spuścizną, przeplata się jak w wielokolorowym gobelinie. Do tego zróżnicowania kulturowego dodaj — drogi Czystelniku — różnorodność krajobrazu: od soczystej roślinności w Galilei po piaszczystą, spaloną słońcem pustynię Negew, migdałowe gaje, surowe ośnieżone góry i wyschnięte koryta rzek.

Wszystko to sprawia, że niezależnie od tego czy poddajemy się kojącemu szumowi fal Morza Śródziemnego, czy leżymy na słońcu i gęstą jak oliwa wodzie Morza Martwego, czy mieszkamy się z tłumem wielgrzmów na Drodze Krzyżowej, czy też jesteśmy świadkami modłiw Żydów przy Ścianie Placzu — nieustannie towarzyszy nam pytanie o wyjątkowość tego miejsca, skoro od wieków stanowi wieczną arenę zmagania...

Jest odpowiedź łatwiejsza — to walka o największe bogactwo — o wodę. Wprawdzie jedynym zbiornikiem słodkiej wody jest Jezioro Tyberiadzkie (Genezaret) i rzeka Jordan, lecz dla mieszkańców Bliskiego Wschodu znaczy to bardzo wiele. Ale zbyt dużo przecina się tu szlaków ludzkości, by sprowadzić odpowiedź tylko do faktów oczywistych. Historia Ziemi Świętej nie jest suchą opowieścią zabalsamowaną w księgach. Przeciwnie — w ciągu ostatniego stulecia wydobywano ją z ziemi z dużą częstotliwością i zapewne dużo sekretów czeka na odkrycie. Prawdopodobnie najbardziej sensacyjnym odkryciem w naszym stuleciu był schówek ze starożytnymi dokumentami z Qumran, znanymi jako zwój znad Morza Martwego. Znalazł je pasterz beduiński w 1947 roku, gdy wszedł do jaskini w ślad za kozą. W glinianych dzbanach znajdowały się grube zwój pergaminu pokryte pismem sprzed dwóch tysięcy lat. Zwój pozostawiła po sobie ascetyczna żydowska sekta Esseńczyków, którzy wędli w górach Qumran życie klasztorne. Po tym rewelacyjnym odkryciu natychmiast rozpoczęto dalsze poszukiwania i w ten sposób znalazło się około sześciuset świetnie zachowanych rękopisów w języku hebrajskim i esseńskim. Dziś można je zobaczyć w Muzeum Izraelskim w Jerozolimie.

Fascynujące jest „odkrycie” Morza Martwego, biblijnego Morza Słonego, położonego czterysta metrów poniżej poziomu morza — i jest to najniższe położone, zamieszkałe miejsce na naszej planecie. Powoduje to, że panuje tu najwyższe ziemskie ciśnienie atmo-

sferyczne, zawartość tlenu jest wyższa o 15 proc., zasolenie morza przekracza 25 proc., a gęstość wody, zwłaszcza latem, jest zadziwiająca — razem z mnóstwem rozpuszczonych soli mineralnych czynią wodę o gorzkim smaku i gęstości oliwy. Można więc na niej leżeć, udawać piórko, ale ostrożnie, by nie dostała się do oczu. Woda ma właściwości terapeutyczne, wykorzystywane zwłaszcza w leczeniu chorób skórnych, ale przede wszystkim ożywcze — po kilkuminutowej kąpeli wstępują w nas nowe siły. Sprawdzono!

Droga do morza także dostarcza wielu wrażeń, bowiem wyjeżdżając z bliskiej Jerozolimy mijamy geograficzny uskok — to jest miejsce, gdzie nagle kończy się ziemia, a zaczyna pustynia. Potem droga wiedzie dobrą asfaltową szosą z nitkami elektryczności przez... środek kamiennej pustyni z koczami, szalasami beduinów i plantacjami palm daktylowych prowadzonych przez kibuce.

KOLOROWY GOBELIN

Zaden przewodnik turystyczny nie ominie Eilatu nad Morzem Czerwonym, najdalej na południe wysuniętego krańca państwa — dziś wielkiej atrakcji turystycznej, odkrytej dopiero w latach siedemdziesiątych. Każdej zimy dziesiątki tysięcy Europejczyków znajdują tu słońce, kryształowo czyste wody, kolonie koralowców i bogate fauny morskiej. W latach '70. okazało się także, że wąski obszar pustyni Negew jest terenem migracji ptaków z Europy do Azji Zachodniej. Powodowało to wiele kolizji samolotowych ze stadami ptaków, dokąd nie poznano planu ptasich wędrówek i odpowiednio do tego dostosowano samolotowe trasy.

Z Jerozolimy nad Morzem Martwym można znaleźć się w ciągu czterdziestu minut, cały Izrael przejedziemy wzdłuż w ciągu ośmiu godzin, natomiast przebycie kraju wszę — od Morza Śródziemnego do rzeki Jordan — zabrałoby godzinę. Jest to zatem obszar niewielki, choćby z punktu widzenia odległości w Polsce, który zamieszkuje 5 milionów, w tym 0,5 mln izraelskich Arabów. Ale — nie pytał Izraelczyka o historię jego życia, jeżeli się śpieszysz — ostrzegają znajomi. Ludzie stąd pochodzą z ponad

stu krajów, niosąc ze sobą doświadczenia różnych ludów i zmiennych losów. Większość izraelskich Żydów dzieli się na aszkanazyjczyków, czyli pochodzenia europejskiego i sefardyjczyków, częściej teraz nazywanych Żydami orientalnymi.

Ich pochodzenie i doświadczenia życiowe były i są powodem napięć, nieporozumień, choćby wokół takiej doczesnej sprawy, jak pożywienie. Ponieważ od dobrych kilku lat modne stały się tu potrawy orientalne i menu z dużą ilością warzyw i owoców, spotkało się to — jak opowiadał zaprzyjaźniony tłumacz — ze swoistym żartem sefardyjczyków. — To jest zemsta za to, że przez całe lata karmiliście nas karpiem z chrzanem.

Zbyt optymistycznie zabrzmiałoby twierdzenie o zatartciu przepaści między tymi grupami. Jeżeli różnorodność ludności Izraela jest jednym z największych jego uroków, to integracja stanowi największe wyzwanie, przed jakim stanęło państwo. Dotyczy to także wielkiej, prawie półmilionowej grupy Żydów przybyłych w ostatnich latach z terenów byłego Związku Radzieckiego. Zasiedziali mieszkańcy mówią, że od nich zaczął się problem picia alkoholu, wypadków samochodowych po pijanemu. Niemniej

wszyscy przybywający korzystają z pierwszego prawa ustanowionego przez Kneset (Sejm) — prawa powrotu, które głosi, że każdy Żyd ma prawo wrócić do Izraela i w tym dniu otrzymuje obywatelstwo oraz pomoc od państwa. Warto tu przytoczyć jeszcze dwa prawa ustanowione na początku istnienia państwa — prawo pamięci, które zobowiązuje państwo do utrwalania w pamięci narodu okresu Zagłady i ścigania przestępców wojennych oraz prawa do bezpłatnego nauczania, obowiązkowego od 5. do 16. roku życia.

Osobne, uważane od niedawna za anachroniczne i marginalne zjawisko wśród Izraelczyków stanowi ultraortodoksyjni Żydzi, z których tylko część stanowią chasydzi. Są najszybciej powiększającą się grupą, średnio w rodzinie jest od ośmiorga do dziesięciorga dzieci, i z tego względu, że ich liczba zwiększa się — zaczęli być natarczywi w żądaniach dotyczących ustawodawstwa religijnego. Ich głos, a stanowią około dziesięć procent spośród 120 posłów Knesetu, często odgrywa rolę języczka u wagi w rozstrzygnięciu wielu spornych kwestii narodowych. Tak było w 1954 roku, podczas rozmów z Niemcami o odszkodowaniach dla Żydów. Gdy Kneset zebrał się, by

podpisać umowę, towarzyszyły temu wielkie demonstracje przeciwników porozumienia. Wówczas jeden głos zdecydował o podpisaniu umowy. Podobna sytuacja miała miejsce w tym roku, gdy ważyły się decyzje o przyszłości państwa, dotyczące podpisania umowy Izraela z OWP. W tej batalii — jak wiemy — wygrali zwolennicy pokoju kosztem oddania w autonomię palestyńską Strefy Gazy i Jerycha. Ostatnim głośnym sukcesem w rokowaniach pokojowych Izraela jest normalizacja stosunków z Jordanią, do czego od lat dążyły siły ugodowe.

Ten swoisty festiwal pokoju na arenie Bliskiego Wschodu, którego jesteśmy świadkami, i przyspieszenie rokowań w tym roku, to wynik eliminacji konkurencji supermocarstw, a zwłaszcza wpływów w świecie arabskim Moskwy — słyszeliśmy wielokrotnie w komentarzach do ostatnich wydarzeń. Cieszy to także większość Izraelczyków, którzy na co dzień muszą liczyć się z zagrożeniem osobistym, terrorem.

ALE życie toczy się przecież mimo wszystko swoim torem. Do izraelskiej młodzieży, którą przyrównuje się tutaj do owocu opuncji (kaktusa) — z wierzchu kolczastej, ale w środku bardzo słodkiej — świat należy w piątek, po szabasowej kolacji. Wówczas „wszyscy” spotykają się w Tel Awiwie, gdzie tętni życie nocne na dyskotekach i w barach. O trzeciej, czwartej godzinie nad ranem trudno przejechać przez telawiwskie ulice, taki tu tłok. Innym, ostatnio modnym szaleństwem jest jeżdżenie traktorami po piaszczystych plażach. Po wojsku, w którym, jak wiadomo, służą wszyscy, młodzi ludzie najczęściej robią sobie rok, dwa wolnego i wyruszają w podróż dookoła świata — w najbardziej niedostępne miejsca w Nepalu, Indiach, Japonii. Potem wracają na studia, do pracy. Ostatnio i młodzi, i starsi wpadli w kolejne przyjemne szaleństwo — uczenie się tańców narodowych, by co tydzień na wielkim placu, jak na przykład na promenadzie nadmorskiej w Tel Awiwie, tańczyć skomplikowane figury i układy.

Trzeba przyznać, że widok kilkuset par tańczących w wielkim kole robi wrażenie. Tam właśnie usłyszałam znaną nam piosenkę pt. „Niebieska chusteczka”, która okazała się bardzo popularną izraelską piosenką narodową. Chyba tylko tutaj można uciąć sobie długą pogawędkę po polsku z nieznanym przechodniem. Polski język, znane nam piosenki można też wyłowić na Karmelu — słynnym targu w Tel Awiwie, choć teraz więcej tu napisów i rozmów po rosyjsku. W języku polskim wydawana jest tylko jedna, tygodniowa i dość droga gazeta „Nowiny Kurier”, natomiast w języku rosyjskim aż cztery, i to znacznie tańsze — co oczywiście świadczy o zasymilowaniu się Żydów z Polski i dużym problemie związanym z asymilacją Żydów z republik Związku Radzieckiego.

Ale to właśnie ludzie stanowią tu największą wartość i zaciekawienie. Jest to jednocześnie nowoczesne społeczeństwo usiłujące żyć w zgodzie z zasadami starożytnej religii, ale społeczeństwo typu zachodniego, które próbuje dojść do ugody ze Wschodem, gdzie przecież żyje. Ta mieszkanka zniewala przybysza i sprawia, że po prostu się tęskni, by pierwszemu napotkanemu powiedzieć — szalom.

LIDIA JASTRZĘBSKA

RUSAŁKA I TARATOR

Kiedys jeździliśmy tam stadnie, teraz bywamy znacznie rzadziej, choć wielu odkrywa bułgarski czarnomorski brzeg na nowo. Bułgarzy zawsze mówią z dumą: nasza rodina jest piękna. I mają rację! W te lipcowe 30-stopniowe upały najchętniej znaleźlibyśmy się w Sozopolu, Drużbie czy w Warnie.

Słoneczny brzeg (nie mylić z koniakiem) oferuje bardzo wiele. Niektórzy, jak np. dyrektor Balkan Holidays, Karamfil Kostov — twierdzą nawet, że wszystko..., no prawie, dodaje...

Na tych, którzy — zmęczeni plażą — lubią potem odpoczywać „w cieniu” starej architektury, snuć się wąskimi uliczkami i słuchać ciszy — czeka Sozopol i Neseber.

Po latach odnajduję Sozopolis (grecka nazwa) ciągle z tym samym klimatem. Władają nim rybacy i malarze. Drewniane domy, w dolnej części z kamienia, z wysuniętymi górnymi kondygnacjami dają ten niepowtarzalny klimat. W ogródkach figowe drzewa panoszą się niepodzielnie, a wszędzie zapach rozwieszonych sieci. Jak zwykle nie ma kistego mleka — słynnego jogurtu bułgarskiego, ale pojawiło się wiele przytulnych małych kawiarenek, gdzie nawet jest herbata!

Niektórzy mówią, że jeszcze piękniejszy jest Neseber. Ponoć spór nigdy nie został rozstrzygnięty... Cały półwysep jest też we władaniu rybaków, ogorzałych od wiatru i słońca, niesłuchanie gościnnych i przyjaznych. Oni zawsze

byli najbliższym kapitalizmu, więc i teraz znaleźli się w nim błyskawicznie. Wielu porzuciło swoje kutry i zapraszają do przemitych kafejek, których wciąż przybywa. Kiedyś zapraszali na polewkę z małż, jakkolwiek zawsze najlepiej smakowały mi tu byczki pieczone na węglu drzewnym i nie ukrywam... koniecznie popijane rakiją albo piwem. Tak jak i u nas coraz więcej zachodnich „smakoloków”, a o banicę — typowe ciasto turecko-bułgarskie — trudniej...

Widać, że konserwatorzy zabytków czuwają nad miasteczkiem i nikt nie zakłócił jakimś architektonicznym wybrykiem jego nastroju. Znajomi Bułgarzy mówią: — Neseber zawsze miał szczęście. Zwany kiedyś Mesembria, założony przez Traków, był także hołubiony przez kolonistów doryckich. Rozwijał się też za Bizantyjczyków. Z czasów panowania Iwana Asena II pozostało wiele cerkiewek, to zresztą były złote czasy dla Neseberu. Rozbudowano port, do którego zawijały statki z Aten, Egiptu czy Wenecji. Tutaj spokojnie można zadumać się nad przeszłymi czasami, błędząc uliczkami w kolo. No, może czasami zakłóca

ten błogi stan niemieccy albo angielscy turyści, którzy fotografują wszystko i wszędzie, można by przepuszczać, że chcą zatrzymać w kadrze każdą chwilę...

Na szczęście bardzo szybko ewakuują się bardzo malowniczym przemykiem na stały ląd, czyli do Słonecznego Brzegu, oczywiście fotografując w ostatniej chwili mury obronne i malowniczy wiatrak.

Wracają do swoich apartamentów w dobrze utrzymanych hotelach. Całe wybrzeże się remonuje, powstają spółki, holdingi. Nowi właściciele starają się wyposażyć swoje obiekty w całą infrastrukturę rekreacyjno-sportową. Powstaje więc coraz więcej kortów, basenów i wiele wymyślnych rozrywek dla dzieci. Przepiękna plaża, w oddali góry i wiele soczystej zieleni, w której można się natychmiast zanurzyć schodząc z plaży, to raj dla tych, którzy podobnie jak w Złotych Piaskach i innych kurortach nadmorskich uwielbiają pływać i kochają leżeć na piasku, by wieczorem bawić się i tańczyć. „tracić” pieniądze w Cassino.

Zawsze lubiłem Drużbę, najstarszy kurort na wybrzeżu, znany ogrodem. Kurort ten zdecydowanie „idzie na kompromis” — proponuje ciszę, chłód, ale także piękną plażę i dużo rozrywek. Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że proces transformacji przechodzi tu na wybrzeżu jakby szybciej, bo w ogóle przeobrażenia w Bułgarii, przynajmniej dla przybysza z Polski, są o wiele wolniejsze niżby można było przypuszczać. Otóż zobaczyłem, że dawne ekskluzywne ośrodki bułgarskiego rządu, całkiem nieźle wyposażone, należące teraz do spółki i zostały przeobrażone na hotele czterogwiazdkowe. Nie jest tam tanio, także poza sezonem, ale są tu wspaniałe źródła leczące reumatyzm, nerwice, nadciśnienie. Każdy, kto miał okazję obejrzeć ośrodek odnowy biologicznej — znajdujący się w tym kompleksie hoteli, dysponujący wszystkim, co się wiąże z balneologią i rehabilitacją — chciałby się tu niecier-

nie odnowić. Pomoże mu w tym przemity personel medyczny, świadczący usługi cały rok. Muszę jednak uczciwie odnotować, że to... kosztuje!

Moim wielkim odkryciem okazała się położona już prawie na granicy z Rumunią i oddalona od traktu nadmorska miejscowość Rusałka. Jest tu jeszcze dziko i ma (ta dzikość) być starannie utrzy-

mywana. Czy to się Bułgarom uda, nie wiadomo, bo każdy chciałby jeszcze mieć na tonie natury i kort, i basen. Jest tu szalenie malowniczo. Wysokie skały opadają raptownie do morza, plaża jest z muszelek, cisza aż dźwięczy w uszach, chwilami może się wydawać, że raj — tuż, tuż. To wspaniałe miejsce dla tych, którzy lubią nastroje, lubią kontemplować.



Neseber

Jest tu względnie tanio, można więc przyjechać nawet i jesienią, i pisać wspomnienia lub układać plany na całe życie... Nawet sąsiadstwo Francuzów, którzy mają tu ośrodek, nie przeszkadza, a wydaje się być nawet całkiem sympatyczne...

Moim drugim wielkim odkryciem, już na samym południu, w kierunku granicy tureckiej, jest niewielka wioska, gwoi ścisłości dodam, nowo wybudowana, o wdzięcznej nazwie Diuni. Domki są stylizowane na stare bułgarskie i schodzą sobie spokojnie do morza. Przed nami widać zatokę, za nami góry. Odnosi się tu wrażenie, że tu jakby za dużo tej bujnej zieleni.

Każdy z nas bardzo chętnie poznaje uroki obcego kraju od kuchni. Bułgarska jest bardzo smaczna i bardzo kolorowa. Wiele jarzyn i owoców natychmiast pojawia się na stołach. Aromatyczne przyprawy do mięs, np. słynna czubrica, aż lechcą podniebienie. Najpierw jednak, tak zresztą jak we wszystkich krajach południowych, zjada się tu góry sałatek. Oczywiście szopska z pomidorów, ogórków, papryki i koniecznie z owczym serem solanem, którego do nas się niestety nie sprowadza, jest bezkonkurencyjna. Kiedy wracamy zmęczeni po plaży, nic tak nie ugasi pragnienia jak tarator — rodzaj chłodnika z kistego mleka. Mięso z rusztu, to jest to, co Polacy lubią najbardziej. A z ciast, do których ja zaliczam także banicę, właśnie ona jest najlepsza. Desery, zresztą jak cała kuchnia bułgarska, są grecko-tureckie, a więc słodkie, ociekające gęstym syropem.

Dla ducha, jak twierdzą Bułgarzy, należy zacytować regularnie śliwową rakiją. A gdyby ktoś nie daj boże się przeziębził, co przy tak słonecznej pogodzie zdarza się nie tak rzadko, należy zażyć masłikę (anizówkę). Jest niezawodna.

TERESA KONARSKA

AGATKA ŚMIEJE SIĘ!

CD ZE STR. 1

— W zasadzie do wakacji nie wiedziałam czy obóz zostanie zorganizowany. Borykaliśmy się bowiem z problemami finansowymi. Na szczęście obóz dofinansowało stołeczne kuratorium. Dzięki temu dzieci za jedynie 1 mln 100 tys. zł mogły spędzić dwa tygodnie w przepięknym i pełnym tajemnic lesie — mówi komendantka.

W programie kolonii wykorzystano pomysły dzieci. Przed wyjazdem składały swoje propozycje do skrzynki życzeń. Dzieci chciały, by był basen — i jest basen, telewizja, teatrzyk kukielkowy, ogniska, warty i wieczorki z muzyką poważną. W pierwszym tygodniu pobytu realizowano program rocznicowy, związany z wybuchem Powstania Warszawskiego. Towarzyszyły temu dyskusje związane z patronem chorągwi stołecznej „Szarych Szeregów”. W drugim tygodniu zapanowała ekologia. Zdobywały różne sprawności, a także zwiedziły Muzeum Przyrodnicze Puszczy Kampinoskiej w Granicy.

Komendantka — realizując propozycje dzieci — powołała dyrektora Kampinoskiego Ośrodka Telewizyjnego — „KOT”. Co drugi dzień o godz. 19.00 dzieci parodiują różne programy telewizyjne. Prowadzącą fantastycznie przygotowany program telewizji jest **Magda Bil** z VI klasy. **Paweł Hasiak** popisuje się swoimi zdolnościami aktorskimi wyśmiewając reklamy preparatu na przyszłe, proszku do prania Ariel i szamponu na łupież. Koloniści zrywają boki. Prowadzący program wciągają do wspólnej zabawy także naszego dziennikarza, który jest zmuszony udzielić wywiadu kampinoskiej telewizji. Emissja programu obozowego kończy się brawami i owacyjnym krzykiem — „Do du, do du, do dużej doszli wprawdy”.

Na obozie jest także basen, basen na sucho. Chłopiec z VI klasy przebrany za ratownika prowadzi zajęcia z gimnastyki korekcyjnej dla leżących na piasku obozowiczów. Po tych suchych ćwiczeniach dzieci pływają... pod prysznicem.

Wielkość dzieci przebywających na tym obozie pochodzi z biedniejszych rodzin — mówi komendantka Barbara Rydzynska. Nie odbiegają one jednak swoim wyglądem czy zachowaniem od innych. Tak samo są radosne i uśmiechnięte. Stanowią zgrany zespół dzieci. Co dziwne, nie występują także żadne problemy wychowawcze. Przygotowując ten obóz zastanawiałam się czy moja drużyna powinna wziąć udział w jakiejś akcji, aby na niego zarobić. Zrezygnowałam jednak z tego. To jest przecież ich dzieciństwo, wydaje mi się, że powinniśmy odsuwać od nich jak najdalej kłopoty życia codziennego, dopóki tylko będzie to możliwe.

Ani **Farion** z V klasy nie podobają się jedynie komary, za to mile wspomina warty i wieczorne ogniska.

Niedawno mieliśmy bieg harcerski i druha pracuje nad następnym, trudniejszym — mówi **Agnieszka Bil**. A wie pan, w nocy widzieliśmy nietoperze, a chłopcy szerszenie, ropuchy, myszy, nad którymi krążyły myszolowy.

A jeszcze widzieliśmy gwiazdę spadającą z nieba — dodaje jej koleżanka **Ania Borucka**.

Chciałabym, żeby na obozie były jeszcze konie — dodaje **Agnieszka**.

A ja marzę o tym — mówi **Ania Farion**, aby obóz trwał dłużej. Gdy opuszczamy obóz w Puszczy Kampinoskiej dzieci pragną tylko jednego — autografów od zaproszonych gości. Ustawiają się na zbiórkę i czekają na spotkanie z leśniczym.

DLA DZIECI I RODZICÓW

Agatka, 18-letnia dziewczynka z porażeniem mózgowym, przez

Mój kucyk jest miły, spokojny i mądry — mówi **Ania z Popowa**



wiele lat była izolowana przez swoich rodziców przed światem zewnętrznym. Dopiero teraz po raz pierwszy opuściła swój dom i wyjechała do **Ryblenka Starogo** (woj. ostrołęckiego) na kolonię zdrowotną zorganizowaną przez **Stowarzyszenie Na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym**. Rodzice bardzo bali się wyjazdu swojej córki, ale teraz są zaskoczeni, gdy wychowawczyni mówi im, że Agatka jeździ furmanką i zdobyła medal na kolonijnej olimpiadzie specjalnej, że chodzi do lasu, że sama może przejść kilkadziesiąt metrów. Jest radosna i spontaniczna. Agatka śmieje się.

W Szkole Podstawowej nr 3 w Ryblenku Starym kończy się właśnie 24-dniowy turnus, na którym przebywa 49 dzieci niepełnosprawnych, upośledzonych umysłowo od stopnia lekkiego do głębokiego. Dzieci te pochodzą z okolic Warszawy: Brwinowa, Dębińska, Pruszkowa.

Wielkość naszych dzieci pochodzi z rodzin rozbitych, często upośledzenie dziecka jest powodem do odejścia ojca — mówi **Tatiana Kaczmarek**, kierowniczka kolonii. Koszt kolonii wynosi 4 mln 800 tys. zł, ale rodzice płacą tylko

2 mln 500 tys. zł. Część osób dofinansowała opiekę społeczną lub zakłady pracy, a niektóre płacą za ten pobyt ratami. Kolonia ta jest więc dostępna także dla najuboższych dzieci.

Gdy przyjeżdżamy, dzieci bawią się na leśnej polanie, grają w ringo, skaczą na skakance, układają także fantazyjne bukiety z różnych roślin i traw. Wieczorami bawią się na dyskotekach i oglądają na wideo imprezy, których są bohaterami. Kochają być aktorami, grać i pokazywać to, co potrafią. Pokazują swoje prace plastyczne, medale zdobyte w igryskach sportowych i nagrody, otrzymane w czasie festiwalu piosenki. Opowiadają o leśnej przejażdżce na furmance oraz to, że bardzo lubią konia. Mają także prowizoryczny basen. Na placu szkolnym ku radości wszystkich, dla ochłody polewane są wodą ze szlauchu. Sprawia im to wielką frajdę i ulgę, gdyż żar leje się z nieba.

Ważne jest to, iż w wielu wspólnych zabawach uczestniczą nie tylko koloniści, ale także miejscowa młodzież, która wspaniale przyjmuje ich inność, a także pensjonariusze znajdującego się niedaleko ośrodka **MONAR-u**. Przychochodzą na ogniska, grają na gitarze i wspólnie śpiewają.

— Dzieci te ciągle na coś czekają — mówi kierowniczka kolonii.

Ich marzenia są marzeniami chwili. Nie patrzą w przyszłość, dla nich atrakcyjny jest ten i to, co jest inne w danym momencie, kolorowe i ładne. Dlatego tak ciepło przyjmują to, co dzieje się na kolonii, a co jest czymś innym niż dotychczas przeżyli. Życie tych dzieci, zamkniętych w „miejskich blokowiskach” sprowadza się do schematu. Do pobytu w szkole i ciągłego przebywania z rodzicami. Często są izolowane. Mają bardzo mało ruchu i wielu rzeczy nie widzieli. Dla nich czymś niezwykłym jest zobaczenie z bliska tajemniczego lasu i kwiatów na łące. Te 24 dni pobytu na kolonii dają im szansę zobaczenia czegoś innego, niezwykłego. Kolonie są potrzebne nie tylko dzieciom, ale także rodzicom. Aby zregenerowali swoje siły i mogli dalej żyć dla tych trudnych dzieci. Jest to więc wypoczynek nie tylko dla dzieci, ale także dla ich rodziców.

UOP I DİABELEK MENTOSEK

W pięknie położonym i wspaniale wyposażonym kompleksie **Zespołu Szkół Rolniczych w Miętnej** (woj. śląskie) spotkaliśmy uczniów szkół podstawowych przebywających na kolonii zorganizowanej przez **Urząd Ochrony**



Są niestety i takie dzieci, które nie wyjadą na wakacje

Państwa. 125 dzieci z Warszawy, Gdańska, Lublina, Rzeszowa, Radomia i Opola mieszka w pokojach 3-osobowych z umywalkami. Młodzież korzysta z krytego basenu, sali gimnastycznej, siłowni i strzelnicy. Pokój pani kierowniczki **Anny Kaczmarek** wypełniony jest pluszowymi maskotkami — nagrodami dla dzieci.

Wszystkie imprezy rozrywkowe zorganizowane są profesjonalnie. Każdego dnia prowadzone są zajęcia kulinarne, na których dzieci uczą się gotowania i pieczenia ciast. Organizowane są także zajęcia komputerowe. Instruktor bukieciarstwa uczy dzieci układania różnych kompozycji kwiatowych z suchych i żywych roślin. Dzieci korzystają także z siłowni i strzelnicy, a także szyją szmaciane maskotki. Nie ma więc czasu na nudę.

Dla osób, które po raz pierwszy przyjechały na kolonie zorganizowane chrzest. Przez tor wymyślonych przeszkód musiał przejść także kierownik główny kolonii **Jacek Lach**.



Na kolonii w Miętnej nie ma czasu na nudę

— Na początku był salon piękności, w którym malowano nas różnymi farbami. U czarownicy trzeba było wypić eliksir młodości, a u diabła Mentoska opowiedzieć wierszyk, za co stawał na pieczonej na czole. Przejść przez tunel z maką, a przed krótem zrobić pompki i przysiadki. Króla Główną pocatować w kolano, a królową w rękę. A później było wielkie mycie — opowiada **Dominił Rafalko**, uczeń V klasy Szkoły Pod-

stawowej nr 292 im. Władysława Sikorskiego w Warszawie. **Anna Darkowska**, wychowawczyni jednej z grup przygotowała imprezę, którą najmiej wspomina **Ania Strasz**, gdyż została wybrana miss kolonii. — Aby zostać miss trzeba było zaprezentować się w rytmie muzyki, zareklamować ośrodek i zatańczyć na gazecie. W finale losowało się różne pytania — ja dostałam: kto jest obecnie prezydentem RP.

RADOŚĆ STUDIOWANIA

UCZELNIE wyższe sygnalizują wzmógłony napływ kandydatów na studentów. Ten zdrowy skądinąd pęd został wprawdzie wymuszony komplikacjami i ograniczeniami rynku pracy (drastycznie potwierdzają to dane statystyczne obrazujące napływ fali absolwentów szkół średnich do biur zatrudnienia), lecz samo zjawisko zasługuje z pewnością na akceptację i na pozytywną reakcję ze strony poszczególnych uczelni. Oto spośród motywów ubiegania się o indeks pojawiło się szczerze wyznanie: „Nie mogę znaleźć żadnej pracy”. Czy jest to szczerze nagananie? Absolutnie nie. Mammy bowiem możliwość podniesienia liczby młodzieży studiującej. Sporożenie temu trendowi — to problem osobny, którym nie będziemy się teraz zajmować. Należy on do kompetencji rządu, resortu edukacji oraz Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego. Koniecznością społeczną jest zwiększenie liczby miejsc, ułatwienie dostępu do studiów.

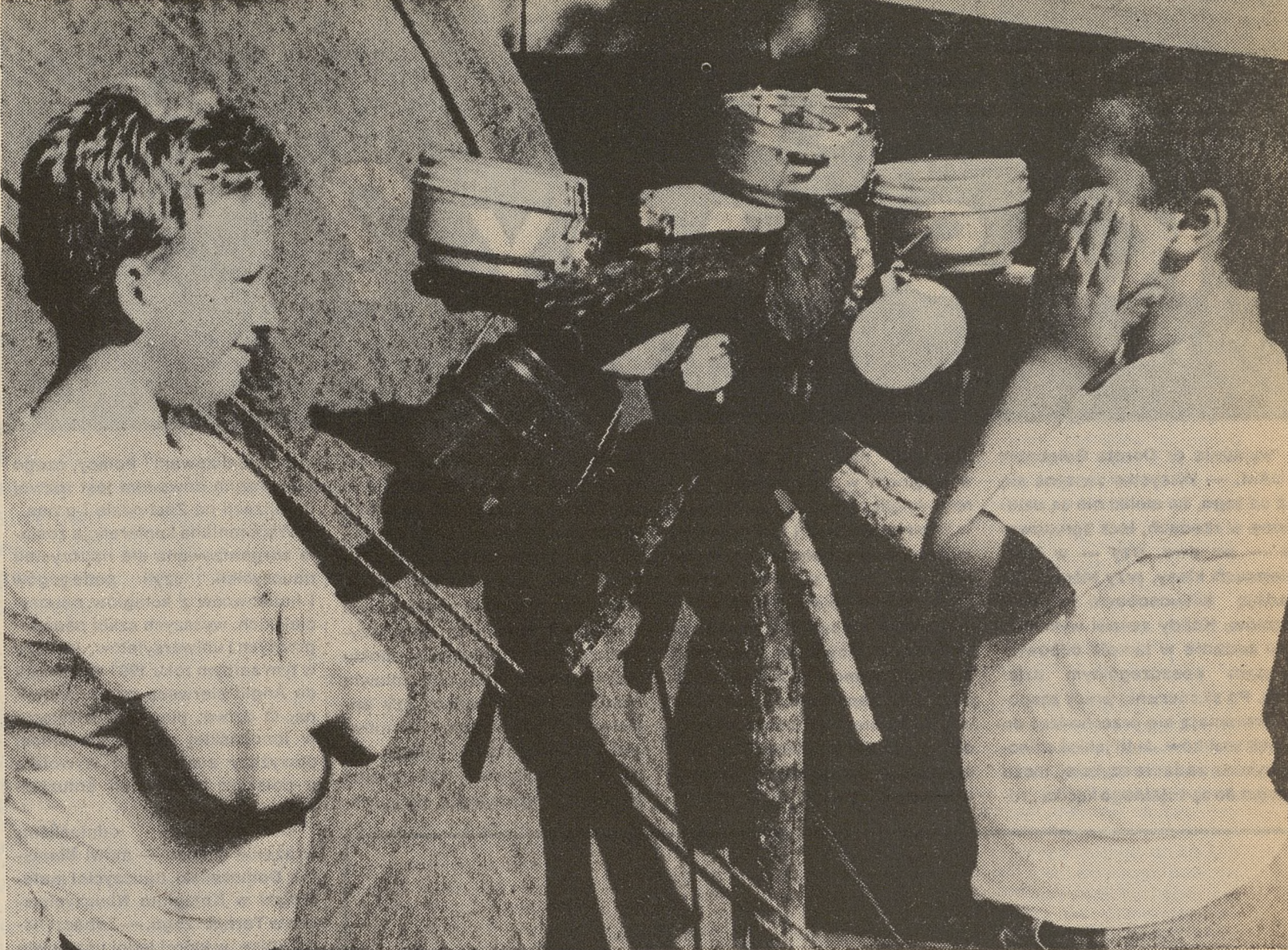
Jak uczelnie reagują na tę sytuację? I jaki ma ona wpływ na kształt i przebieg egzaminów wstępnych? Wydaje się, że pierwszą pozytywną oznaką ze strony większości uczelni jest troska o rozwój studiów zaoucznych, o ich dowartościowanie merytoryczne i dydaktyczne, o ich zrównanie programowe i wyposażeniowe ze studiami dziennymi. Uproszczenie byłoby szukanie przyczyn tego procesu w „dochodowości” tej formy studiów, choć nie da się uniknąć i takiego rozumowania, iż odpłatność za studia zaouczne prowadzi nas nieuchronnie ku płatnym studiom stacjonarnym. Przy obecnych nakładach na edukację wydaje się to niezbyt odległą perspektywą. Stan finansów wielu uczelni budzi wszak już dziś litość i trwogę. O wynagrodzeniu nauczycieli akademickich nie wspomnę.

Odbiegliśmy dość daleko od dawnego modelu studiów zaoucznych, kiedy to warunkiem ich podjęcia

było skierowanie z miejsca pracy, a średnia wieku kandydata znamionowała jego „drugą młodość”. Teraz wystarczy szczerze chęci i pewien kapitał, którego skalę określała prawa podaży i popytu. Im ekskluzywniejszy kierunek studiów, tym wyższe koszty. Jednak doświadczone uczelnie wykazują swoisty realizm w ustalaniu owych pułapów finansowych. Wiadomo bowiem, od jakich środków — pod względem stopnia zamożności — są adresowane poszczególne propozycje i na jakie motywacje mogą liczyć poszczególne wydziały uniwersyteckie, formułując swe oferty.

Na studiach zaoucznych obserwujemy dziś młodzież niewiele starszą od ich kolegów stacjonarnych. Jednakże kilka lat pracy zawodowej, jakich pierwszych nawet bardzo zróżnicowanych prób życiowych, w parze z dojrzałością i stabilizacją rodzinną — znacząco bardzo wiele. Znacząco więcej przede wszystkim od strony motywacji, które dzięki wspomnianym okolicznościom życiowym stają się wyraziste, a także wystarczająco silne, aby gwarantować dobry start na pierwszym roku studiów. Mówi się, że o poważnym stosunku do studiów, o pracowitości studentów zaoucznych przesądzą zobowiązania finansowe, ale jest to zaledwie część prawdy. Na pierwszym planie należałoby raczej stawić poczucie odpowiedzialności, rosnące z wiekiem i doświadczeniem. Studenci zaouczni są zdyscyplinowani, chętnie współpracują z wykładowcą, zgłaszając ochotniczo gotowość wykonania zadań dodatkowych. Trzymają się terminów. Przysparzają zdecydowanie mniej kłopotów swym opiekunom uczelnianym. Potrafią się lepiej zorganizować.

Na posiedzeniu Senatu Uniwersytetu Warszawskiego 11 maja br. JM rektor, prof. dr hab. W. Siwiecki, złożył sprawozdanie roczne poświęcone



Bajecznie proste, prawda? W nagrodę otrzymałam piękny krokodyla i mnóstwo słodyczy.

Podobnie profesjonalnie zorganizowane były inne imprezy. Odbył się ślub kolonijny, a na kobiercu stanęło aż 10 par. Dziewczyny poprobierane były w piękne suknie, w rękach trzymały kolorowe wianki kwiatów, a pan Mirek przebrał się nawet za księdza. Ceremonii ślubnej towarzyszył marsz Mendelssohna, a cała impreza zakończyła się bogato przygotowanym przyjęciem weselnym. Stoły uginały się od słodczych, zimnych napojów i lodów. Aż 50 osób uczestniczyło w festiwalu piosenki, wzorowanym na odbywającym się w Sopocie. Dzieci śpiewały do mikrofonów, fotograf robił zdjęcia i wszyscy uczestnicy zabawy otrzymali nagrody. Koloniści jednak nie tylko bawili się, poznawali różne ciekawe miejsca. Zwiedzieli Puławę, Kazimierz Dolny, a w dębińskiej Szkole Orliąt mogli zasiąść za sterami samolotów odrzutowych i śmigłowców.

Nie zauważyłam żadnych problemów wychowawczych w pracy z tą młodzieżą — mówi **Anna Kaczmarek**. — Dzieci są sympatyczne, ułożone i zdyscyplinowane. Przyjeżdżają do tego ośrodka od kilku lat, widocznie podoba im się tutaj.

Najdziwniejsze jednak jest to, że dzieci każdego dnia ustawiają się w kolejce do pielęgniarki.

Nie oznacza to, że tak dużo mają urazów. Wydaje mi się, że dzieci potrzebują psychicznego wsparcia i przychodzą do mnie z różnymi własnymi problemami. Opowiadają o rodzicach i szkole,

W nocy widzieliśmy nietoperze, myszolowa i spadającą gwiazdę

wspólnie śpiewamy piosenki. Chcą się przytulić i być glaskane. Potrzebują miłości — mówi **Elżbieta Łukasiewicz**, pielęgniarka kolonijna.

★

Nie wszystkie jednak dzieci mogły wyjechać na kolonie lub obóz. W czasie swojej reporterskiej wędrówki spotkałam nie tylko uśmiechnięte, radosne dzieci. Jadąc z obozu harcerskiego widzieliśmy gromadki dzieci, bawiące się piłką na drodze, bez niczyjej opieki, a także pracujące z rodzicami w słonecznym skwarze na polu.

Na drodze z Wyszkowa, ale przecież nie tylko, na parkingach można zauważyć dzieci sprzedające zimne napoje i lody. Trasa zaś z Lublina do Warszawy wręcz usiana była maluchami smutnie siedzącymi przy drodze i oferującymi za 25 tys. zł stoik leśnych jagód. Spotkany przez nas za wsią Gocław mały sprzedawca **Rafał Łukasiewicz** powiedział, że w ten sposób dorabia sobie do kieszonkowego, a także pomaga rodzicom. On jak i wiele wiejskich dzieci w czasie tych wakacji nie wyjedzie na obóz czy kolonie.

MAREK KOZUBAL

Fot. Jan Balana

obdukcji. Niebezpieczeństwa — dodajmy — czyhają wszędzie. Czasem wystarczy najprostsze pytanie o przesłanki towarzyszące wyborowi kierunku studiów. Innym razem deklaracja kandydata, co chciałby zwiedzić np. w Paryżu (Bastylię!), okazuje się kompromitującą anachroniczną. Pytanie zaś o ostatnie doznania artystyczne — w kinie, w teatrze, w muzeum, w filharmonii — zbyt często prowadziło do powierzchownych relacji z drugiej ręki: kandydat powtarzał zasłyszane opinie, niekiedy powielając warsztatowe błędy mediu. Mało samodzielności, jeszcze mniej krytycyzmu.

TEGOROCZNE rozmowy bądź egzaminy w swoim założeniu miały kandydatom umożliwić wszechstronne sprawdzenie się. Temu celowi służyły określone zabiegi organizacyjne, a mianowicie zróżnicowanie terminów kwalifikacji kandydatów na studia dzienne i studia zaouczne oraz dopuszczenie do posikowania się odpisem notarialnym świadectwa maturalnego. W efekcie co odważniejsi kandydaci biegali z egzaminu na egzamin, z rozmowy na rozmowę, według kalendarza eliminacji uczelnianych. Nieprzewidziane kłopoty pojawiały się wtedy, gdy kandydat lub kandydatka pomyślnie przeszli kilka prób, stając przed koniecznością wyboru kierunku. Z kolei znalezienie się na liście osób, które zdały egzamin bądź zaliczyły rozmowę, lecz nie zostały przyjęte z braku miejsc, stwarzało pewne nadzieje. Według rozeznania władz wydziałowych wchodzi w grę kilka możliwości, m.in. „płynność” listy osób przyjętych, z których nie wszystkie (zdające na kilka kierunków) podejmą studia w październiku, dopuszczą ewentualne uwzględnienie kandydatów „rozrywowych”. Jest też możliwe uzgodnienie z kandydatem przesunięcia ze studiów dziennych na zaouczne, a nawet — w jednostkowych przypadkach — podjęcie pokrewnych studiów za granicą.

Uniwersytet Warszawski zamknął natomiast furtkę przed tzw. wolnymi słuchaczami. Jeszcze w ubiegłym roku akademickim zdarzały się takowi studenci stacjonarni, którzy za prawo studiowania płacili według stawek umownych. Władze uniwersyteckie, uznając marginalność zjawiska, stwierdziły jednocześnie, iż byłoby rzecz niemożliwą pobieranie opłat za bezpłatne w swej istocie studia dzienne, stosowanie dwóch różnych miar wobec studentów.

WOJCIECH J. PODGÓRSKI

Wyrwane z „miejskiego blokowiska”

EFEKT KASKADY?

D ZE STR. 1

wyjaśnia dr Dorota Gołębiak z UAM. — Wszystko zaczyna się już od tego, że stoliki nie są ustawione w rzędach, lecz zgrupowane — po dwa, trzy — w kilku miejscach klasy, przy których zasiadają kilkuosobowe zespoły uczniów. Każdy zespół wykonuje inne zadanie w tempie odpowiadającym poszczególnym dzieciom. Po skończeniu pracy zespoły wymieniają się przechodząc do innych stolików. Jeśli jakieś dziecko wykona zadanie szybciej, może przejść do specjalnego kąpka „re-

ponowali nam na konferencji w Mielnie w październiku 1991 roku Anglicy i Holendrzy. Właśnie w Wielkiej Brytanii i Holandii system ten, zwany nauczaniem integralnym bądź symultanicznym, zdobył prawo obywatelstwa. Koordynatorem całości programu została **Norah McWilliam z Bradford & Ilkley Community College**. Stronę polską reprezentuje przedstawiciel Ministerstwa Edukacji Narodowej, **Jan Potworowski, który jest entuzjastą programu „Tempus-Redesign”**. Uważa, że w nowym

systemie zrodzi się zupełnie odmienny typ ucznia. Nie będzie to już młody człowiek z głową nabitą wiedzą encyklopedyczną, ale nie umiejący wykorzystać jej praktycznie, lecz ktoś, kto się będzie odznaczał zmysłem praktycznym i twórczym podejściem do rzeczywistości. — Z polskiego punktu widzenia wydaje się, że uczniowie i studenci amerykańscy czy angielscy są ignorantami — mówi Jan Potworowski. — Jednak potrafili oni efektywniej wykorzystać nawet mniejszą wiedzę niż „pre-

intelektualizowani” Polacy, czego najlepszym dowodem jest rozwój cywilizacji na Zachodzie i u nas. Wspomniana konferencja została zorganizowana dla nauczycieli nauczycieli, czyli pedagogów i naukowców z kolegów naukowych, wyższych szkół pedagogicznych i uniwersytetów. Jeszcze w tym samym roku 1991 wyjechała do Anglii pierwsza grupa studencka. O dziwo, pierwsza wizytacja w londyńskiej szkole stosującej powyższy system nie wywołała u polskich nauczycieli entuzjazmu.

— Początkowo odnieśliśmy wrażenie chaosu — mówi **Stanisław Domoradzki, nauczyciel matematyki w Kolegium Nauczycielskim w Tarnobrzegu**. — Zobaczyliśmy klasę, w której jedni uczniowie coś rysowali, inni obliczali, jeszcze inni czytali, ktoś siedział przy komputerze. Miałem wątpliwości, czy w takich warunkach dzieci mogą czegoś się nauczyć.

— Wydawało mi się, że ten system wymaga od nauczyciela ponadludzkiej cierpliwości — dodała **Elżbieta Mrozek, polonistka z Kolegium Nauczycielskiego w Szczepnie**. — Mielismy już doświadczenia w pracy grupowej. Zawsze były problemy z utrzymaniem dyscypliny w klasie. Zamponowali mi nauczyciele angielscy, którzy bardzo cierpliwie rozmawiali z każdym uczniem oddzielnie, jeśli tylko ktoś zwrócił się oń z jakimś problemem. Przynajmniej, że nam, polskim pedagogom, na ogół brakuje takiej cierpliwości, żeby wysłuchać dziecko do końca. Jednak

STUDENCI UAM O LEKCJACH PROWADZONYCH WEDŁUG ZASAD PROGRAMU „TEMPUS-REDESIGN”:

Lekcja odmienna w swej formie od lekcji tradycyjnych staje się bardziej atrakcyjna dla uczniów. Nie jest nudna, uczeń nie oczekuje „z zegarkiem w rękę” na zbawczy dzwonek, a czas lekcji nie jest dla niego trwającą w nieskończoność męka. Lekcja taka daje uczniowi możliwość wykazania się nie tylko wiedzą z danego tematu. Jest on bardziej zaangażowany w to, co robi, poszukuje on własnych, indywidualnych rozwiązań, wykorzystuje wszystkie pokłady swoich uzdolnień i pokonuje wszelkie przeszkody na drodze do realizacji zamierzonych celów.

Nauczyciel nie jest „górą lodu”. Ikwiąca w swoim fotelu na przeciwko zestresowanych uczniów i wzywająca ich do odpowiedzi. Następuje zmiana relacji nauczyciel — uczeń. Dystans zostaje zmniejszony. Rola nauczyciela zostaje ograniczona, ale nie pomniejszona. Nauczyciel nie narzuca uczniom formy zajęć, lecz służy im radą i pomocą.

Kolejną zaletą zajęć w nowej formie jest możliwość uaktywnienia uczniów, którzy są z reguły cisi i zalekani.

Pracą w grupach, zbliżenie się uczniów do siebie ułatwia zredukowanie wielkich stosunków i wzmocnienie przyjaznych.

Uczniowie nie czują się osaczeni. Lekcja nie jest przykrym obowiązkiem.

Każda zmiana, także ta dotycząca formy prowadzenia zajęć, wymaga pewnego wysiłku, zarówno ze strony nauczyciela, jak i uczniów. Należy wykorzystać wszelkie stereotypy w szkolnictwie. Czynnikami nieodzownymi są: przygotowanie odpowiedniego gruntu oraz wypracowanie nowych, funkcjonalnych metod. Zmieniać należy wiele, a zacząć od spraw zasadniczych. Pierwszym krokiem niech będzie zmiana stosunku nauczyciela do ucznia. Jest to krok nieodzowny, by mogły nastąpić kolejne posunięcia na drodze ku nowej, lepszej szkole.

Zawsze należy mieć na uwadze indywidualność ucznia, jego osobowość, a nie wciskać go w jednolitą, zuniformizowaną „masę” klasy.

szybko zauważyłam, że w tym po-zornym niedziale — dzieci bez przerwy krążyły po klasie — jest pewna logika i porządek. Na przykład uczniowie nieustannie rozmawiali, ale „igdy nie podnosili głosu do tego stopnia, żeby przeszkadzać koleżankom i kolegom pracującym przy sąsiednich stanowiskach i wykonującym inne czynności.

Przeprojektywanie

Po powrocie zaczęły się organizować grupy problemowe, zajmujące się różnymi aspektami edukacji wczesnoszkolnej, liczące od kilku do kilkunastu naukowców i nauczycieli. I tak: dr Dorota Gołębiak kieruje zespołem, który bada „możliwości” wykorzystania przez dzieci języka jako narzędzia myślenia i komunikacji, i to nie tylko na języku polskim, lecz na wszystkich przedmiotach. To wła-

dziecka, jak ciekawość świata, zwłaszcza otaczającej przyrody. — Przecież każde dziecko to urodzony badacz — mówi dr Dylak. — Powinnismy wszystko zrobić, aby podtrzymać i rozwijać tkwiący w dziećch ped do poznania najbliższej rzeczywistości.

Zdaniem szefa grupy przyrodniczej, nauczanie takich przedmiotów, jak biologia, chemia czy fizyka zabrnęło u nas w ślepią uliczkę. Usiłujemy z uczniom zrobić naukowców, którzy nie potrafią wyjaśnić najprostszych zjawisk, na przykład dlaczego tęcza przybiera kształt łuku albo jak się nazywają kwiaty, krzewy i drzewa rosnące przy szkole, nie mówiąc już o rozpoznawaniu ich na podstawie kształtu liści. Zespół opracował wiele scenariuszy lekcji przyrody prowadzonych według zasad „Tempus-Redesign”.

Następny zespół, kierowany przez **Annę Bannister**, zajął się sprawą jak najszerzego wykorzystania różnego rodzaju gier w nauczaniu początkowym, i to również na wszystkich przedmiotach. Znowu przypomniano sobie elementarną prawdę, że dzieci przecież uwielbiają gry i zabawy. Dlatego nie wykorzystujemy ich w celach dydaktycznych.

Zespół matematyczny, pod egidą dr **Zofii Muzyczki** z Kolegium Nauczycielskiego w Nowym Sączu, wykorzystuje między innymi swoje doświadczenia z wyjazdów do Holandii, gdzie w szkołach jest lansowana tzw. matematyka realistyczna. Na przykład, zamiast nudnych „słupków” dzieci obliczają koszty wyieczki. Zespół opracował już skrypt „Gry i zabawy dydaktyczne”, w którym zaproponował wzory różnych zadań matematycznych wziętych z życia, między innymi zabawę w sklep. Dzieci robią zakupy za określoną kwotę. Zmusza to je do nieustannego dodawania i odejmowania cen towarów.

Wreszcie piątym i ostatnim zespołem jest grupa **Grzegorza Lutomskego (UAM)**, która przez ostatnie trzy lata pracowała pod hasłem „Zdrowa szkoła”. Starata się ona między innymi, „przeprojektować” metodykę wychowania fizycznego w edukacji wczesnoszkolnej, kładąc nacisk na pierwszy człon nazwy przedmiotu, to jest wychowanie. Zatem sport to nie tylko eksponowanie tętnyzy fizycznej, lecz także świat wartości humanistycznych, jak solidarność w grupie, niesienie pomocy koleżeńskiej, wzajemne doskonalenie się itd. Nauczyciele i studenci skupieni w grupie „Zdrowa szkoła” usiłowali także wypracować zasady funkcjonowania placówki oświatowej jako miejsca samorealizacji zarówno dzieci, jak i pedagogów. Stwierdził między innymi, że warunkiem nieodzownym rozdzenia się postaw twórczych jest respektowanie — podmiotowości wszystkich członków społeczności

1. Zaufaj sobie. 2. Mów o czym myślisz. 3. Porozmawiaj z samym sobą. 4. Jeśli czujesz, że stoisz w miejscu — porozmawiaj z nauczycielem. 5. Słuchaj siebie i innych. 6. Pytaj o wszystko. 7. Rozmawiaj z kolegą. 8. Rozglądaj się wokół i ucz się. 9. Pisz, tak jak potrafisz. 10. Czytaj to, co lubisz.

Dr Stanisław Dylak (UAM) stanął na czele grupy zajmującej się nauczaniem przyrody w edukacji wczesnoszkolnej. Grupa ta przyjął za punkt wyjścia naturalne cechy

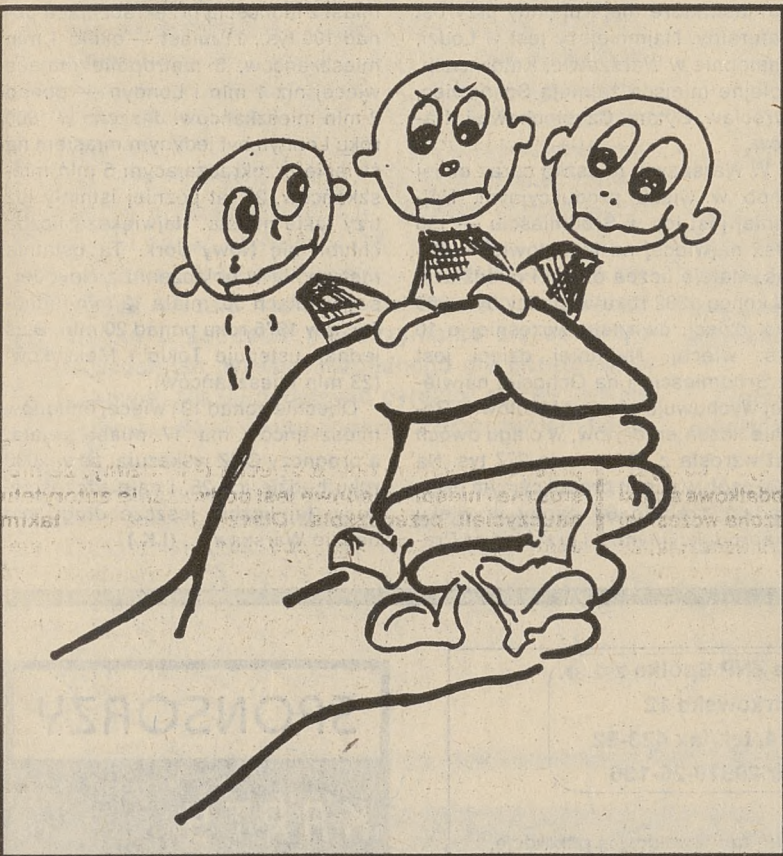
szkolnej. Zasada ta powinna być stosowana na przykład przy konstruowaniu programu pracy szkoły, tak aby składał się on z propozycji i pomysłów nauczycieli, a nie był im narzucany.

Koordynatorem programu „Tempus-Redesign” w Polsce jest dyrektorka Zespołu Kolegów Nauczycielskich w Szczepnie, dr **Anna Strzelecka**, która nie tylko kierowała pracami powyższych zespołów, lecz także przeniosła idee programu do kierowanej przez siebie placówki.

Co dalej z programem „Tempus-Redesign”? W Szczepnie dokonano podsumowania trzyletniego okresu wdrażania go w polskich szkołach, kolegiach nauczycielskich i uczelniach pedagogicznych. Nie mogłem nie zauważyć entuzjazmu wśród uczestników konferencji. Idee programu porwały ich do tego stopnia, że postanowili jako grupa prekursorka kontynuować dzieło już pod szyldem Towarzystwa „Dziecko i Edukacja”, które w najbliższych tygodniach ma się zarejestrować. Od razu wyznaczono sobie dalekosiężne cele, jak chociażby zorganizowanie w Polsce za dwa lata europejskiej konferencji edukacji wczesnoszkolnej.

Jednak przede wszystkim uczestnicy programu „Tempus-Redesign” będą dążyć do zmiany sys-

WITOLD SALAŃSKI



WEEKEND W TELEWIZJI

PIĄTEK 5.08.94 PROGRAM 1

13.55 Program dnia 14.00 Kino letnie „Allegia” — musical prod. polsko-belgijsko-ang. reż. Jacek Biernski, Jerzy Gruza, wyk. Sophie Barjac, Jean-Pierre Cassel, Wiesław Gołas 15.35 Szansa — widowisko 16.00 Dia dzieci „Był sobie Ameryki” (24) oraz Ale cyrk! 16.50 Muzyczna Jedynka 17.00 Teleexpress 17.20 Ekspres Kultuuralny 17.40 „Tata, a Marcin powiedział...” 18.00 Randka w ciemno — zabawa quizowa 18.45 Zulu Zulu, Miedziana 13 — program satyryczny Tadeusza Rossa 19.00 Wieczorynka 19.30 Wiadomości 20.10 „W martwym punkcie” — horror prod. USA reż. „Mark Goldblatt, wyk. Treat Williams, Joe Piscopo, Lindsay Prent 21.35 Puls 21.25 Nasze szkapie 22.45 W.C. Kwadrans 23.00 Wiadomości 23.10 „Niebezpieczna gra” — film fab. prod. kanadyjskiej, reż. Michael Grant, wyk. Sally Kellerman, Stephen Lack, John Huston 0.35 Program muzyczny 1.10 Program rozrywkowy 2.00 Zakonczenie programu

SOBOTA 6.08.94 PROGRAM 1

6.55 Agrolinia 7.35 Z Polski 7.45 Wszystko o dziale i ogrodzie 8.10 „Dobrana para” (4) — serial prod. angielsko-amerykańskiej 9.00 Wiadomości 9.10 „Wakacje z Ziarnem” — program red. katolickiej dla dzieci i rodziców 9.35 Program dla dzieci: — Euro-gra 94 — Rejs oraz film z serii „Eerie Indiana, czyli dzwiny misteczek” 11.00 „Podwodna odyseja ekipy kapitana Cousteau” — film dok. francuskiej 11.50 reportaż 12.00 Wiadomości 12.10 „Pro Ballica 94” — reportaż 12.40 Tak! jest świat — magazyn reporterów 13.00 „Jaleo — Nuevo Flamenco” — fragment koncertu 13.30 w okolicie Stworcy — program redakcji katolickiej 14.00 Walt Disney

PROGRAM 2

13.00 Panorama 13.15 Program artystyczny 14.10 Lato mojego życia — Emilia Krakowska 14.25 Multihobby 14.45 Okazywa-polszczyzna — Lato 15.00 Powitanie 15.05 Brzo XX wieku (12) — „Czolgii” — film dok. prod. USA 15.35 „Baltman” — serial

temu kształcenia nauczycieli w Polsce. Na ten temat mają bardzo dużo przemysleń. Nowy sposób nauczania i organizowania zajęć szkolnych przeciwicyli na sobie podczas wielu warsztatów pedagogicznych. — Na przykład nie widzimy potrzeby ani sensu istnienia metodyki jako oddzielnego przedmiotu studiów — mówi dr Stanisław Dylak. — Wszystkie zajęcia powinny być jednocześnie praktyczną lekcją metodyki. Jednym z przedmiotów powinna być z pewnością pedagogika dialogu, rozumiana jako sztuka nawiązywania partnerskich stosunków z dzieckiem.

Poza tym cała koncepcja szkoły musi się zmienić — mówią uczestnicy konferencji w Szczepnie. Dotychczasowy model szkoły transmisji i urabiania musimy zastąpić modelem szkoły poszukiwania i komunikacji. W tej nowej szkole potrzebny jest nowy typ nauczyciela — refleksyjny praktyka, odznaczającego się krytycznym podejściem do własnej pracy i nastawionego na stały rozwój swych umiejętności.

W Szczepnie powiało więc optymizmem. Jak określiła dr Dorota Gołębiak, zaczął już działać efekt kaskady, to jest rozlewania się nowych idei w coraz szerszym gronie nauczycieli: Gra warta jest świeczki — twierdzą autorzy programu „Tempus-Redesign”. Dotychczasowy system klasowo-lekcyjny nadaje się tylko do lamusa.

Z DOBRYCH LEPSZE

Aniu, czytasz płynnie każdy tekst. Umiesz ładnie pamiętać, dlatego opanowałaś mnożenie i dzielenie. Koleżanki i koledzy lubią Cię szczególnie za to, że zawsze okazujesz im życzliwość i pomoc — to fragmenty świadectwa uczennicy klasy II w szkole podstawowej w Gaju Małym. Jednej z około stu w woj. poznańskim objętych eksperymentalnym, integralnym nauczaniem w klasach nauczania początkowego.

Kuratorium poznańskie postanowiło wprowadzić zmiany do szkoły. Aby zmniejszyć ryzyko błędów reformy objęto nauczanie początkowe. Nie wprowadzono żadnego przymusu — nową metodę nauczania jako jedyną z głównych celów wprowadzono przez szereg eksperymen-tu. Powodem przywiązania tak dużej wagi do własnej aktywności dziecka jest z jednej strony potwierdzone w praktyce teza o skutecznym uczeniu się tą metodą, a z drugiej — wychowawczy aspekt kształtowania w ten sposób postaw kreatywnych.

Tymczasem rzeczywistość pokazuje — stwierdzają poznańscy naukowcy — że aktywny w szkole jest przede wszystkim nauczyciel: on mówi, on pyta, koryguje, nakazuje, porządkuje się zadaniom oraz możliwością i potrzebom dziecka. Nauczyciel — obserwując uczniów decyduje o tym, ile czasu będzie trwała praca nad danym zagadnieniem. Dzwonek o-wieszczyający początek i koniec lekcji — wyłączone.

Wychodząc z założenia, że obowiązujące programy szkolne określają cele i materiał dydaktyczny dla danego wieku, naukowcy z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza i metodycy z WQM w Poznaniu uznali, że realizacja tych programów nie musi się dokonywać tradycyjnie w oddzielnych przedmiotach. — Tak jak otaczająca rzeczywistość nie składa się z rozproszonych i wyizolowanych elementów — tłumaczy doc. dr hab. **Halina Sowińska** — tak też trzeba ją poznawać jako wzajemne związki i współzależności. Stosowanie tej koncepcji wymaga również bardzo indywidualnego traktowania dziecka, polegającego głównie na pobudzaniu

Aby aktywność dziecka rzeczywiście służyła jego rozwojowi, potrzebne jest spełnienie wielu warunków. Jednym z podstawowych są własne, wyni-

skające z potrzeb, motywacje oraz możliwość działania twórczego, tzn. wytworzenia nowych wartości, odkrywania faktów i zależności pomiędzy nimi. Równie ważne jest to, aby dziecko mogło osiągnąć zakładany przez nie efekt i aby efekt ten był konkretnym wytworem, a najlepiej jeszcze użytecznym i trwałym. W dodatku niezbędne jest takie organizowanie kolejnych działań, by stworzyły one całość skorelowaną z pozaszkolnym życiem dziecka.

Osiągnięcie tak wszechstronnej aktywności będzie możliwe jednak wówczas — podkreśla H. Sowińska — gdy dziecko może się zachowywać spontanicznie i naturalnie, gdy może manifestować własną indywidualność. I rzecz, kto wie, czy nie najważniejsza — dziecko musi mieć prawo do błęd!

Zmianie uległ też sposób oceniania dziecka. Nie ma tutaj tradycyjnych ocen, a świadectwo ukończenia danej klasy różni się znacznie od powszechnie używanego. Zamiast stopni jest ocena opisowa, która w założeniu ma być stimulatorem rozwoju dziecka. Taką oceną objęte są osobno postępy ucznia w edukacji i w rozwoju oraz jego osobiste osiągnięcia. Również opisowa jest ocena z religii. Daje to możliwość przekazania rodzicom szerokiej informacji o dziecku, osiąganie kilku efektów wychowawczych. Chodzi bowiem o stopniowe uczenie dziecka poznawania samego siebie i rozwijanie w nim zdolności do świadomego kierowania swoim postępowaniem.

Prof. **Anna Brzezińska** z Instytutu Psychologii UAM namawia przy tym do zobudowania środków, poprzez które wyrażany jest pozytywny stosunek do dziecka, czyli rozbudowanie górnej części skali. Ocena bowiem — w jej przekonaniu — ma budzić w dziecku nadzieję na osiągnięcie powodzenia.

*

Choćby tyle się mówi o oporach polskiej szkoły i nauczycieli wobec reformy, okazuje się, że coraz poszczególnie są zmiany i znajdują się chętni do podejmowania trudów eksperymentu. Są to głównie ci nauczyciele, którzy rozumieją, że tradycyjnie pracująca szkoła nie ma możliwości na pobudzanie aktywnego uczestnictwa dziecka, czego powodów jest bardzo wiele, od przepełnionych klas poczynając, a na nieprzygotowaniu do tego nauczycieli kończąc. Wymaga to od nich znacznie większego wysiłku oraz intensywnego samokształcenia. Praktyczna realizacja koncepcji nauczania integralnego nie jest łatwa. Wymaga od nauczyciela wyobraźni, wychodzenia poza przyswojone schematy, dostosowania się do chwili w miarę tego, jak dzieci reagują, działają i kon-

struują sytuację i przebieg zdarzeń. A wszystko to za... satysfakcję tylko, bo wynagrodzenie zapalcenców pozostaje bez zmian.

Kuratorium poznańskie nawiązało współpracę z naukowcami z Wydziału Studiów Edukacyjnych i Instytutu Psychologii UAM. Wspólnie z Wojewódzkim Ośrodkiem Metodycznym przygotowuje materiały teoretyczne omawiające dość szczegółowe cele i założenia koncepcji oraz pomagające w praktycznym przygotowaniu poszczególnych zagadnień. Nauczyciele otrzymują przykładowe plany pracy dydaktyczno-wychowawczej, bloków tematycznych i tematów dnia. Ponadto dostają też materiały omawiające szczegółowe zasady odpowiadającej oceny postępów w nauce i rozwoju dziecka. WOM organizuje też specjalne seminaria i zajęcia warsztatowe, na których nauczyciele mogą dyskutować z pracownikami naukowymi i metodykami, dzielić się doświadczeniami z codziennej pracy, radzić, jak rozwiązywać trudniejsze problemy.

Jak dotąd — ocenia kurator **Grażyna Ziolkowska** — koncepcja ta zyskuje coraz więcej zwolenników i wśród nauczycieli, i wśród rodziców, a wstępne efekty pozwalają żywić nadzieję, że doprowadzi ona do powszechnej reformy, przynajmniej nauczania początkowego. Po dwóch latach daje się już zauważać, że jest znacznie skuteczniejsza, a ponadto sprawia, że dzieci nie przejawiają niechęci do szkoły.

W tym roku szkolnym nauczaniem według nowej koncepcji została objęta już uczniowie klas trzecich w kilkunastu szkołach. A co dalej? Dyrektor WOM **Klémens Stróżyński** uważa, że w jakimś zakresie tę koncepcję należałoby stosować także w klasach wyższych. Ma jednak świadomość, że jej wprowadzenie będzie znacznie trudniejsze, gdy w jednej klasie nauczyciela kilku nauczycieli, z których każdy jest specjalistą ze swojego przedmiotu. Myśli jednak o tym, żeby znacznie silniej łączyć np. elementy polskiego i historii czy biologii i chemii. Patruje więc pracom, które na to pozwolą, chociaż niewielkie są szanse, aby zostały one zakończone do końca sierpnia 1995 r. Póki co, na pracach eksperymentu, w dwóch szkołach nauczyciel nauczania początkowego przechodzi do wyższych klas. Oczywiście przy silnym wsparciu metodyków i naukowców. Zapalcenów jednak nie brakuje, chociaż — jak zauważa dyrektor Stróżyński — najwięcej ich wśród nauczycieli nauczania początkowego — w wyższych klasach wyraźnie mniej. Kurator Grażyna Ziolkowska sądzi (a może tylko się ludzi!) że upowszechnienie nowej koncepcji nauczania początkowego po prostu wymusi oddolną, stopniową reformę nie tylko szkoły podstawowej.

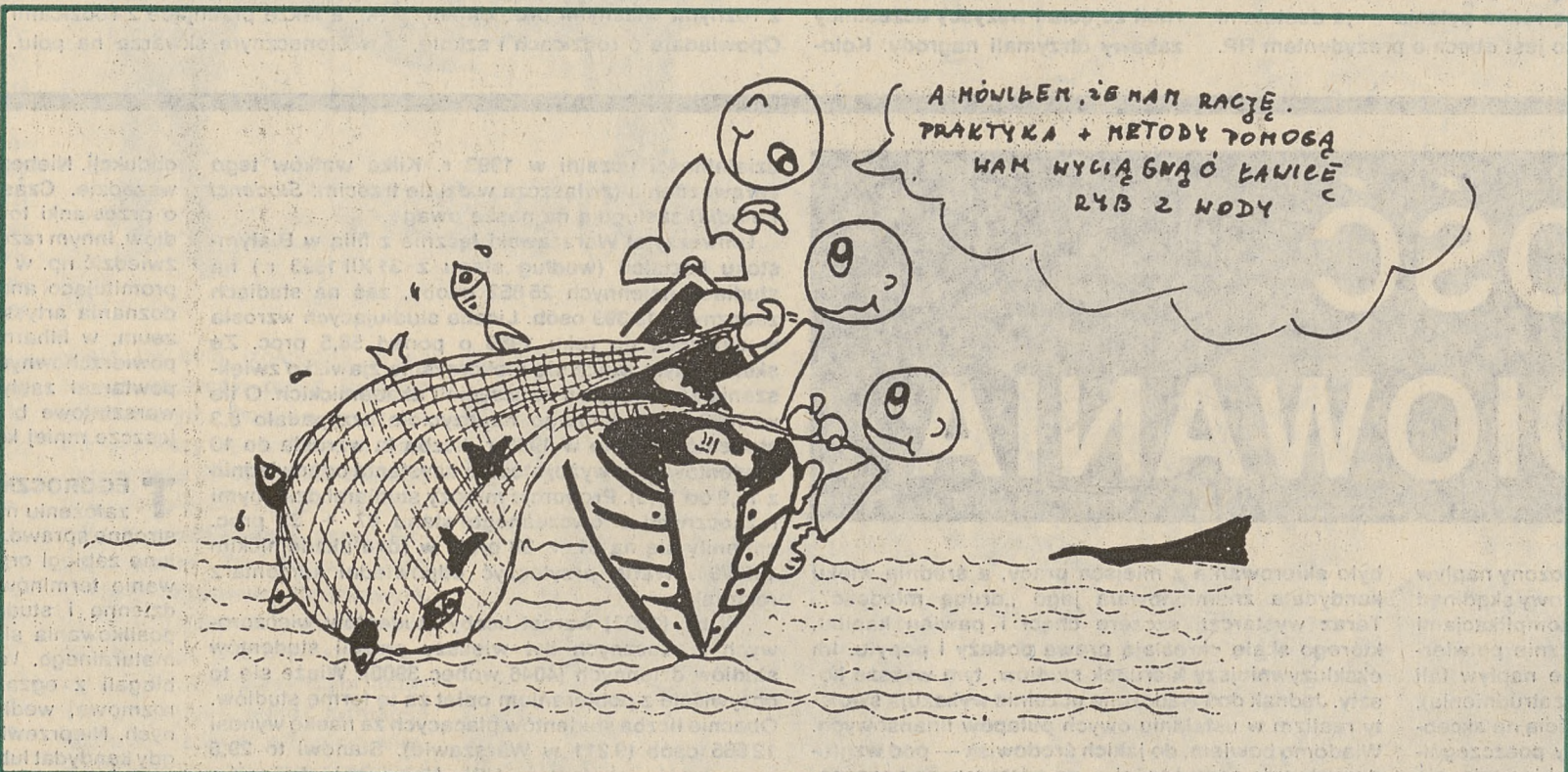
MALGORZATA POMIANOWSKA

laksowego”, w którym znajdują się zabawki, gry komputerowe etc.

Jak wyjaśnia dalej dr Gołębiak, przy takiej organizacji zajęć można się odbywać jednocześnie z kilkoma przedmiotami, na przykład z polskiego, matematyki, przyrody, plastyki. Jednak najistotniejsze jest tutaj to, że nauczyciel już nie przekazuje wiedzy ex cathedra, lecz tak organizuje zajęcia, aby każdy uczeń mógł rozwiązać postawiony przed nim problem indywidualnie i samodzielnie dojść do określonych wniosków.

Pracując w grupach dzieci mogą też dyskutować między sobą, jak też zwracać się do nauczyciela z prośbą o dodatkowe wyjaśnienia. Między pedagogiem a uczniem zachodzą więc zupełnie inne relacje niż w systemie klasowo-lekcyjnym. Nauczyciel nie wlatcza już wiedzy do głów swoich podopiecznych na siłę, w atmosferze strachu i represji (grożąc na przykład „pałą”), lecz stara się uruchomić w nich wszystkie zdolności, tak aby oni sami mogli dochodzić do określonej wiedzy. Pedagog nie jest już groźnym mentorem, lecz zyciowym przyjacielem, który pomaga uczniom w zrozumieniu pewnych prawd. Powinno mu więc zależeć na tym, aby dzieci przed nim się otworzyły. Stąd atmosfera swobody i luzu. Maluchy, niczym nie skrupowane, wymieniają poglądy między sobą, jak też bez lęku zwracają się do swojej pani czy pana. Żeby jednak uniknąć chaosu, obowiązują wszystkich pewna dyscyplina. Na przykład nie wolno mówić za głośno. Uczeń pragnący „przekonsultować coś z nauczycielem wstaje od stolika i do niego podchodzi.

Taki sposób nauczania zapro-



NORAH MCWILLIAM (Bradford and Ilkley Community College), koordynatorka programu „Tempus-Redesign”.

Był to dla mnie ogromny zaszczyt, że mogłam pracować z polskimi nauczycielami przez ostatnie trzy lata. Nigdy dotąd nie spotkałam tylu utalentowanych, energicznych i zaangażowanych pedagogów. Zeby ich zrozumieć, musiałam poznać polski system edukacyjny. Nie było to dla mnie zadanie łatwe, model oświaty stanowi bowiem bardzo złożoną strukturę. Stwierdziłam, że najprzydatniejszym sposobem zrozumienia tego systemu będzie metoda zadawania naiwnych pytań. Ostatecznie, jako cudzoziemiec miałam do tego prawo.

Zadawałam więc te pytania i zawsze otrzymywałam na każde z nich dziesięć różnych odpowiedzi. Coż mi więc pozostało? Muszę je zadawać nadal. Brzmia one następująco: dlaczego polscy nauczyciele boją się, że mogą czegoś nie wiedzieć? Dlaczego czują, że muszą współzawodniczyć ze sobą? Dlaczego mają tak skromne możliwości porozumiewania się i komunikowania ze sobą? Wreszcie dlaczego tak mało zarabiają i dlaczego szkoły są tak źle wyposażone w pomoce dydaktyczne, tym bardziej że wszyscy wokół twierdzą, że dziecko to najlepsza inwestycja dla kraju?

O WZASOWYCH PUSTOSTANACH

Powinienem być zadowolony, a jednak... Tak się bowiem złożyło, że już po raz drugi, zaledwie w odstępie dwóch lat, podczas kilkunastodniowego urlopu, podkreślałam — spędzonego w czerwcu, a więc tuż przed pełnym sezonem — miałem do dyspozycji niemal całe domy wczasowe w renomowanych kurortach. To nie bluff, tak było istotnie.

Po raz pierwszy w 1992 roku, kiedy wypoczywałem z żoną w polanickiej „Ekierce”, gdy tylko przyjechalśmy było kilka osób, które można by policzyć na palcach jednej ręki. Każdego kolejnego dnia ktoś ubywał. Ostatnie dni pobytu w tym domu mieliśmy do dyspozycji gospodarstwo z całym dobrodziejstwem: sanitariaty, umywalki z ciepłą i zimną wodą, świetlicę z telewizorem oraz klucze nie tylko do pokoju, ale także do drzwi wejściowych całej willi. Naprzeciw naszej rezydencji kwitły wspaniałe rododendrony. Na koncerty chodziliśmy do domu zdrojowego, jadaliśmy — nie najgorzej — w stolówce FWP. W sumie, żyć nie umierać.

Tegoroczne wakacje, także w czerwcu, spędziliśmy w gościnnym ośrodku ZNP w Jaszowcu koło Ustronia Polany pod rządami pełniącej obowiązki dyrektora w tym okresie pani **Marii Soltarius**. Jednopiętrowy łamany pawilon z tarasem, wzniesiony trzydzieści lat temu, usytuowany jest nad doliną górskiej rzeczki o nazwie Jaszowiec, wpadającej kilkadziesiąt metrów dalej do Wisły w Polanie,

gdzie jest stacja kolejowa. Od tej to stacji idzie się kładką — wiszącym mostem dla pieszych, przez Wisłę, potem lekko wznoszącą się promenadą aż do alei wysadzanej modrzewiami.

Gdy podchodzimy bliżej zauważamy nad głównym wejściem wspomnianego pawilonu nieco inną nazwę ośrodka, niż ta, która widnieje na sprzedawanych jeszcze w pobliskim kiosku widokówkach. Otóż okazuje się, że to już nie Dom Nauczyciela „Pod Bukami”, a Nauczyciel. To niby drobna zmiana, ale coś w tym jest. Ten szczegół będzie jednak potrzebny do pewnego wyводу, ale o tym za chwilę. A tak przy okazji jeszcze jedna śmiesznośćka. Gdzie te buki? Ja ich nigdzie w pobliżu domu wypoczynkowego nie widziałem. Są i owšem, ale po drugiej stronie szosy. Z kronikarskiego obowiązku warto jeszcze dodać, że obiekt ma swego patrona — **Włodzimierza Łętka**, śląskiego działacza związkowego. Świadczy o tym odsłonięta w 1988 roku tabliczka przy głównym wejściu.

Sam obiekt może jednorazowo gościć około 120 wczasowiczów w jedno-, dwu- i trzyosobowych pomieszczeniach o różnym standardzie. W każdym jest umywalka z ciepłą i zimną wodą. Niektóre mają pełny węzeł sanitarny z natryskiem. Są i takie z wewnętrznymi telefonami. Położenie pawilonu sprawia, że z każdego pokoju jest widok na bohatera niedokończonej powieści Władysława Orkana, le-

gendarną 995-metrową Czantorię, główny szczyt w ramieniu górskim Beskidu Śląskiego.

Gdy budowano ten pawilon pomyślano też o kawiarni, sali gier i zabaw dla dzieci, nie mówiąc już o jadalni i świetlicy z telewizorem, teraz już kolorowym, chociaż o zbyt małym ekranie na tak dużą salę. Niestety, kawiarnia jest czynna tylko od przypadku do przypadku, a więc nie zarabia na siebie, a sala gier i zabaw jest zamknięta, gdyż — jak nam powiedział pan konserwator Janusz Bużniak — podłoga nie nadaje się do użytku. Dzieci szaleją, gdy jest pogoda — na dworze, lub podczas deszczu — w świetlicy. Podobno dom nie był remontowany od czasu jego wybudowania. Chodzi oczywiście o remont generalny. Aż się wierzyc nie chce, że wszystko i tak się nieźle trzyma. Bieżące naprawy personel wykonuje w większości we własnym zakresie. Widziałem jak krzątano się przy okalającej pawilon zieleni. Przyjeżdżający tu lepiej sytuowani samochodziarze mają do dyspozycji strzeżony parking.

Trzeba pochwalić kucharkę za smaczne posiłki, chociaż trochę skromne, mało urozmaicone. Na trzecie danie powtarzał się nieustannie kompot w postaci smacznej wody o smaku jakiegoś owocu lub kisiel. Nigdy nie było ciasta własnego wypieku czy kakao na śniadanie. Zawsze herbata i herbata, czasami zupy mleczne. A przecież głównymi „kuracjuszami” podczas naszego pobytu były dzieci, trzy trzecie klasy zielone z Raciborza. A gdy one wyjechały za kilka dni w ich miejsce przyjechała grupa ponad 70-osobowa dzieci w różnym wieku z Międzyzdrojów i Raciborza na normalny dwutygodniowy turnus wczasowy. Jak powiedziała nam jedna z ich opiekunek, dla tych młodych ludzi znad morza to niesłychanie fas-

cydująca przygoda. Po raz pierwszy w górach i w pokojach jak dla dorosłych. Z przejęciem odnosili klucze do recepcji. Te dwutygodniowe wczasy dziecięce organizowała jakaś prywatna firma ze Śląska za ponad 3 mln zł od osoby.

Tak oto ratuje się Nauczyciel „Pod Bukami”, brutalnie mówiąc, przed plajtą. Gdyby nie te dzieci sytuacja byłaby taka, jak przed dwoma laty podczas naszego pobytu w Polanicy. Oprócz nas były bowiem tu tylko trzy — przepraszam — starsze panie, jedna z nich to żona nieżyjącego już dyrektora szkoły z Zabrze, którą przyjeżdża tu niemal co roku, zauroczona Jaszowcem i zżyta z tym domem od chwili jego powstania.

Pojawia się zatem pytanie — problem. **Jak ratować przed upadłością nauczycielskie ośrodki wypoczynkowe, te o względnie wysokim standardzie, mogące przyjmować wczasowiczów cały rok, położone w pięknych zakątkach naszego kraju.**

Chodząc po Jaszowcu, Ustroniu, Wiśle, a także odwiedzając niedaleką Brennę widać jak domy wypoczynkowe prześcigają się w przyciąganiu turystów. Mając pieniądze można wybierać. W świetle rozmów w recepcjach i z nielicznymi jeszcze wczasowiczami nasza placówka, z przykrością to muszę stwierdzić, nie prezentuje się najlepiej. Za te same pieniądze, które trzeba wysuplać na pełnopłatne doby „Pod Bukami”, gdzie indziej można lepiej zjeść, wynająć pokój o wyższym standardzie. Czy wobec tego nie ma ratunku?

Nieprawda. Jestem nieopracowanym optymistą. Trzeba ludzi energicznych i z inicjatywą. Czy kawiarnia nie powinna zarabiać na ośrodek? Przecież obok, tuż przy naszym Nauczycielu doskonale prosperuje kiosk-bar, w którym można kupić owoce, napoje, słodczyce, papierosy i inne drobiazgi,

a także zjeść różne dania na zimno i gorąco przysiadając przy prostych drewnianych stołach na balach. Jest to przelotowy trakt do innych domów wczasowych i na szlaki turystyczne. Czy nie powinno się udostępnić — odpłatnie — sali gier i zabaw dla dzieci nawet dorosłym z zewnątrz nie czekając na mannę z nieba?

To dobrze, że przyjeżdżają „zielone klasy”, ale słyszałem, że w nadchodzącym roku szkolnym ma ich już nie być. I co wtedy? A czy wakacyjne turnusy młodzieży lub dzieci zdadzą egzamin i przyniosą spodziewany dochód? Są tacy, którzy mówią, że te dziecięce turnusy zniszczą więcej niż wniosą do ubogiej kasy ośrodka. W tej materii można się spierać o efekt, wszystko zależy od odpowiednio spisanych umów i opiekunów.

I jeszcze sprawa standardu: wygodne sanitarnych, pełnosprawnych radioodbiorników, telewizorów w pokojach, a także bardziej urozmaiconych posiłków oraz innych imponderabilii, to trzeba się zastanowić, czy w takiej sytuacji ceny za pobyt nie powinny być bardziej konkurencyjne? Mogą być pokoje gorzej wyposażone. Czy nie powinny przyciągać mniej zamożnego, mniej wymagającego turysty właśnie konkurencyjne opłaty?

Kasa nauczycielska nigdy nie była zbyt bogata. Nie chodzi o luksusy. Tym bardziej nie możemy sobie pozwolić na pustostany w naszych domach wczasowych. I właśnie dlatego — mimo mile spędzonego urlopu w Jaszowcu, nie jestem w pełni usatysfakcjonowany.

ALFRED ZIELIŃSKI

WARSZAWA NA TLE INNYCH MIAST

Z porównania 20 miast polskich liczących ponad 200 tys. mieszkańców wynika, że Warszawa ma ich dwa razy więcej aniżeli Łódź, Kraków czy Wrocław — dowiadujemy się z najnowszego raportu o stanie stolicy, opracowanego przez Wojewódzki Urząd Statystyczny. Podobnie jak w innych dużych miastach (Łódź, Kraków, Wrocław, Poznań) w Warszawie mieszka więcej kobiet aniżeli mężczyzn (na 100 mężczyzn przypada 115 kobiet). Spada w ostatnich latach liczba zawieranych małżeństw, również mniej par się rozwodzi.

Stolica znajduje się w grupie 9 miast, które mają ujemny przyrost naturalny. Najmniejszy jest w Łodzi, następnie w Warszawie, Katowicach, kolejne miejsca zajmują Sosnowiec, Wrocław, Bytom, Częstochowa i Kraków.

W Warszawie mieszka coraz mniej osób w wieku produkcyjnym. Najmniej jest ich w Śródmieściu — 153 tys., najwięcej na Mokotowie — 333 tys. Maleje liczba dzieci i młodzieży. W końcu 1992 roku w stolicy było 360 tys. dzieci, dwa lata wcześniej o 10 tys. więcej. Najmniej dzieci jest w Śródmieściu i na Ochocie, najwięcej wychowuje się na Mokotowie. Również liczba emerytów, w ciągu dwóch lat wzrosła z 264 tys. do 277 tys. Na 100 osób w wieku produkcyjnym przypadają średnio 63 osoby w wieku nieprodukcyjnym, na przykład na Pra-

dze-Pólnoc — 59, a w Śródmieściu aż 84 osoby.

Według stanu na 31 grudnia 1993 roku w Warszawie mieszkało 1642,7 tys. ludzi, w tym 880 tys. kobiet. W przeliczeniu na 1000 mieszkańców w ciągu roku odnotowano pięć zawartych małżeństw, 12 urodzeń, 8 zgonów.

Nie wszyscy wiedzą, że pod koniec XVI wieku Warszawa miała zaledwie 10 tys. mieszkańców, a w drugiej połowie XVIII wieku ponad 110 tys. i plasowała się w grupie najludniejszych miast świata. W drugiej połowie XIX wieku na świecie było już 110 miast z ludnością przekraczającą ponad 100 tys., 11 miast — około 1 mln mieszkańców, 3 metropolie mające więcej niż 1 mln i Londyn — ponad 2 mln mieszkańców. Jeszcze w 1900 roku Londyn był jedynym miastem na świecie przekraczającym 5 mln mieszkańców, 25 lat później istniały już trzy takie miasta. Największą liczbą chłubił się Nowy Jork. Ta ostatnia metropolia w połączeniu z New Jersey w latach 50. miała 12 mln ludności, a w 1975 roku ponad 20 mln. Dziś jednak ustępuje Tokio i Meksykowi (23 mln mieszkańców).

Obecnie ponad 10 i więcej milionów mieszkańców ma 17 miast świata, a prognozy ONZ wskazują, że w 2000 roku będzie ich 25, i całe szczęście, że w tej liczbie jeszcze długo nie będzie Warszawy... (I.K.)

Dzwon i Zamawiaj

27 66 30

TELEFON CZYNNY
PON.-PT. 9.00-15.00

INSTRUKCJA OBSŁUGI:
1. Należy wykręcić numer kierunkowy do Warszawy 0-22
2. Po usłyszeniu ciągłego sygnału należy wykręcić numer 27 66 30
3. Po zgłoszeniu się abonenta, należy złożyć zamówienie wg porządku:
 a/ imię i nazwisko zamawiającego
 b/ nazwa płatnika zamówienia
 c/ dokładny adres do oczekującego na zamówienie
 d/ wyraźnie podać nazwy programów oraz ich ilości
4. W celu zakończenia połączenia należy przed odłożeniem słuchawki poprosić o podanie przez rozmówcę swojego imienia i nazwiska.

fragment oferty programów komputerowych:	
BUSINESS ENGLISH FOR ET.	205 000 ZLP
ETEACHER DEUTSCH W.2.5	400 000 ZLP
ETEACHER ENGLISH W.2.5	400 000 ZLP
JĘZYK NIEMIECKI TESTY	280 000 ZLP
ORTOTRIS W. 1.0	160 000 ZLP
Q-SEKRETARIAT uczniowski	2 500 000 ZLP
YOU AND ME	415 000 ZLP
EKG ANALIZA BADANIA	185 000 ZLP
FIZYKA WZORY	280 000 ZLP
GEOGRAFIA AFRYKI	280 000 ZLP
GEOGRAFIA USA	280 000 ZLP
GEOMETRIA	280 000 ZLP
GUSTAW	270 000 ZLP
PRO - COPY	350 000 ZLP
COR PLUS	620 000 ZLP
LITERKI, CYFERKI	145 000 ZLP
MATEMATYKA WZORY	280 000 ZLP
MIKROEWOLUCJA	280 000 ZLP
MISTRZ ARYTMETYKI	280 000 ZLP
NAUCZYCIEL MUZYKI	280 000 ZLP
P D N	280 000 ZLP
PRAWO JAZDY TESTY	280 000 ZLP
PRAWO JAZDY KRZYŻÓWKI	280 000 ZLP
ROBOSTARTER	490 000 ZLP

COREL DRAW 4.0	800 USD
CHIWRITER 4.2 DELUXE	730 USD
AMI PRO 3.0 PL	400 USD
LOTUS ORGANIZER PL	185 USD
LOTUS 1-2-3 V.3.4 PL	360 USD
WINDOWS DRAW 3.0	305 DM
MS DOS 6.2	95 USD
WINDOWS 3.1 PL	98 USD
WORKS FOR WINDOWS 2.0 PL	98 USD
WORD FOR WINDOWS 2.0 PL	120 USD
EXCEL FOR WINDOWS 4.0 PL	120 USD
FOXPRO 2.5 FOR WIN PL	120 USD
NORTON COMMANDER 4.0	120 USD
NORTON UTILITIES 7.0	220 USD
WORDPERFECT 5.1 DOS PL	85 USD
WORDPERFECT 6.0 DOS US	600 USD
dyskietki komputerowe:	
DYSAN 100 5,25" DD	14 000 ZLP
DYSAN 100 3,5" HD	38 000 ZLP
akcesoria komputerowe:	
DEXTRA MOUSE 450 DPI	280 000 ZLP
DEXTRA TRACKBALL	850 000 ZLP
DH 400 HP skaner ręczny	3 100 000 ZLP
AM 28 Artec Mouse 500 DPI	415 000 ZLP
DATA PEN okazja!	12 200 000 ZLP
PRIMAX MOUSE 400 DPI	390 000 ZLP

SŁOWO W. 2.0	1 200 000 ZLP
QR-TEKST DOS	1 200 000 ZLP
MEDIA EURO	2 200 000 ZLP
QR-TEKST FOR WINDOWS	1 200 000 ZLP
DBASE IV 2.0	365 USD
COREL VENTURA 4.2	305 USD
COREL DRAW 3.0 PL	360 USD

Dzwon i Zamawiaj

Wytwórnia Mebli Szkolnych
62-300 Września
oferuje po niskich cenach:
meble szkolne
sprzęt sportowy
 Zapewniamy transport. Większe zamówienia dostarczamy bezpłatnie.
 Zamówienia kierować:
WYTWÓRNA MEBLI SZKOLNYCH
 62-300 Września, ul. Słowackiego 48
 tel. (0-66) 361-350

Wydawnictwo Pedagogiczne ZNP Spółka z o.o.
25-510 Kielce, ul. Piotrkowska 12
tel. 68-14-20 w. 175, 422-14, tel./fax 423-52
Konto: PKO I O Kielce Nr 29519-26-136

POLONISTO!
 Z myślą o Tobie i Twoich uczniach przygotowaliśmy rewelacyjne publikacje, niezbędne w nauczaniu j. polskiego.

■ **ORTOGRAFIA I INTERPUNKCJA W KLASACH IV-VIII - WIADOMOŚCI I ĆWICZENIA** cena: 45.000 zł
 Pozycja zawiera zestaw reguł ortograficznych z komentarzem merytorycznym i metodycznym. Do każdej reguły zostały dobrane ćwiczenia ortograficzne, dyktanda, testy i sprawdziany. Zaproponowano również sposób poprawy błędów ortograficznych i kryteria ocen.

■ **O SZTUCE PISANIA WYPRACOWAŃ** cena: 30.000 zł
 W publikacji zaprezentowano sposób pisania wypracowań, a także przykładowe prace napisane przez uczniów, a dotyczące następujących wypowiedzi:
 list, opisy, opowiadanie, sprawozdanie, reportaży, recenzja, streszczenie, charakterystyka postaci, rozprawka.

!Przejmijmy informujemy, że w/w publikacje można nabyć:
 • wplacając stosowną kwotę na nasze konto (na przekazie pocztowym należy podać tytuł zamawianej książki i swój dokładny adres).
 • za zaliczeniem pocztowym, na zamówienia telefoniczne lub listowne

Nawiążemy współpracę z hurtownikami, właścicielami księgarni i akwizytorami na bardzo korzystnych warunkach.

ZASADY ZAMIESZCZANIA REKLAM I OGŁOSZEŃ W TYGODNIKU "GŁOS NAUCZYCIELSKI" :
 Reklamy zamieszczamy po uprzednim listownym, telefonicznym lub osobistym uzgodnieniu terminu druku i płatności należności z tytułu realizacji zlecenia. Zainteresowanym wysyłamy aktualne cenniki. Materiałów nie zamówionych, nie zwracamy. Od 5 lipca 1993 r. obowiązuje ustawa o podatku od towarów i usług oraz o podatku akcyzowym (Dz. U. z 15 lutego 1993 r. Nr 11, poz. 50). W związku z tym płatników podatku VAT prosimy o dołączanie oświadczenia, iż zgadzają się na wystawienie faktury VAT bez podpisu odbiorcy. Oświadczenia można faksować na numer (0-22) 26-34-20. W przypadku braku oświadczenia, wystawiane będą rachunki uproszczone.

Ogłoszenia drobne przyjmowane są na co najmniej 17 dni przed ich drukiem. Ogłoszenia do rubryk: szukam pracy, szkoła zatrudni, towarzyskie, matrymonialne oraz serdeczności przyjmujemy bezpłatnie, zastrzegamy sobie prawo do adjustacji anonsów, realizujemy te ogłoszenia w terminie 14 dni od daty ich otrzymania. Pozostałe ogłoszenia drobne: cena za słowo wynosi 9 000 zł. Do wartości ogłoszeń i reklam płatnych doliczamy podatek VAT wg stawki: 7 % osoby fizyczne nie prowadzące działalności gospodarczej, 22 % pozostali.

EBO BIURO HANDLOWO-REKLAMOWE
"Głosu Nauczycielskiego"
00-389 Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8 skr. 900
tel./fax (0-22) 27 66 30

SPONSORZY

KARTY RABATOWE

EBO BH-R
"Głosu Nauczycielskiego"
Warszawa
ul. Smulikowskiego 6/8
tel. 27 66 30

5% na oprogramowanie

Wydawnictwo Pedagogiczne ZNP Sp. z o.o.
Kielce
ul. Piotrkowska 12
tel. 422-14
8% na książki

PROKOM sc
Ciechanów
ul. Zagumienna 42
tel. 2469, 2742

2% na meble szkolne

EXPERTUS Ltd.
Warszawa
ul. Chodakowska 53/57
tel. 10 59 12
5% na komputery i oprogramowanie

PYTAJ! NA TEJ STRONIE ZNAJDZIESZ ODPOWIEDŹ

NAJBLIŻSZY DYŻUR 22 SIERPNIĄ, GODZ. 11³⁰-14³⁰
TELEFON 27-66-30 LUB CENTRALA 26-10-11 w. 261

REDAGUJE SŁAWOMIR LEWANDOWSKI

URLOP DLA PORATOWANIA ZDROWIA

W nowym roku szkolnym chciałabym skorzystać z urlopu dla poratowania zdrowia. Jakie kroki powinienam w tym celu podjąć? Czy w okresie tego urlopu zachowam prawo do dodatku funkcyjnego? (J.L. — woj. zielonogórskie).

Art. 73 Karty Nauczyciela przewiduje, że nauczycielowi zatrudnionemu w pełnym wymiarze zajęć, po przepracowaniu co najmniej 3 lat w szkole, dyrektor szkoły udziela płatnego urlopu dla poratowania zdrowia na okres do jednego roku, o ile organ społecznej służby zdrowia stwierdzi, że stan zdrowia nauczyciela wymaga powstrzymania się od pracy w celu przeprowadzenia zaleconego leczenia. Jeżeli jednak do nabycia praw emerytalnych brak jest mniej niż jeden rok, urlop ten nie może być udzielony na okres dłuższy niż do końca miesiąca kalendarzowego poprzedzającego miesiąc, w którym nauczyciel przechodzi na emeryturę.

Szczegółowy tryb i sposób postępowania w sprawach dotyczących nauczycielskich urlopów dla poratowania zdrowia określiło zarządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej z 30 października 1982 r. (Dz.Ur. MOiW nr 13, poz. 123). Orzeczenie o potrzebie powstrzymania się nauczyciela od pracy w celu poratowania zdrowia wydaje komisja lekarska, działająca w zakładzie społecznym służby zdrowia właściwym ze względu na miejsce zamieszkania lub pracy nauczyciela. Komisja podejmuje decyzję na podstawie wniosku lekarza leczącego nauczyciela, dokumentacji z dotychczasowego leczenia oraz badania lekarskiego przeprowadzonego przez komisję. Dodatkowo może zostać zarządzone przeprowadzenie konsultacji specjalistycznych i badań pomocniczych.

Komisja lekarska, uznając, że zachodzi taka potrzeba, wydaje następnie nauczycielowi zaświadczenie o potrzebie powstrzymania się od pracy z podaniem okresu niezbędnego dla poratowania zdrowia. Na tej podstawie dyrektor szkoły udziela nauczycielowi urlopu zgodnie z orzeczeniem komisji.

Podczas korzystania z urlopu dla poratowania zdrowia nauczyciel otrzymuje wynagrodzenie zasadnicze, dodatek za staż pracy i ewentualnie dodatek wiejski. Sąd Najwyższy w uchwale z 19 grudnia 1983 r. (sygn. akt III PZP 49/83) wyjaśnił, że w tym okresie nauczycielowi nie przysługuje dodatek funkcyjny, gdyż nie sprawuje on funkcji, do której ten dodatek jest przywiązany.

DATA NABYCIA PRAWA DO NAGRODY JUBILEUSZOWEJ

Pracuję nieprzerwanie od 1 września 1969 r. Z końcem sierpnia nabędę więc prawo do nagrody jubileuszowej za 25 lat pracy. Chciałabym jednak wiedzieć, kiedy dokładnie uzyskam to uprawnienie: 31 sierpnia czy 1 września. Odpowiedź jest dla mnie bardzo istotna, gdyż od 1 września podejmuję zatrudnienie w nowym miejscu pracy, zaś 31 sierpnia będę jeszcze pracownikiem „starego” zakładu (B.R. — woj. częstochowski).

Par. 7 ust. 1 zarządzenia ministra pracy i polityki socjalnej z 23 grudnia 1989 r. w sprawie nagród jubileuszowych (M.P. nr 44, poz. 358) stanowi, że pracownik nabywa prawo do nagrody jubileuszowej w zakładzie pracy zatrudniającym go w dniu upływu okresu uprawniającego do tej nagrody. W przypadku opisywanym w liście konsekwencją ustalenia daty nabycia prawa do „jubileuszówki” będzie nałożenie na jeden z zakładów pracy obowiązku wypłacenia nagrody jubileuszowej za 25 lat pracy.

Mogące powstać w tej sprawie wątpliwości rozstrzyga uchwała Sądu Najwyższego z 21 maja 1991 r. (sygn. akt I PZP 16/91). Brzmi ona: „Pracownik nabywa prawo do nagrody jubileuszowej w dniu bezpośrednio poprzedzającym dzień, który nazwą lub datą odpowiada dniu, w którym pracownik podjął zatrudnienie”. Czytelniczka nabędzie więc prawo do „jubileuszówki” 31 sierpnia br., co oznacza, że wypłacić ją powinien „stary” zakład pracy.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ MATERIALNA PRACOWNIKÓW

Według jakich zasad pracownik ponosi odpowiedzialność za szkodę wyrządzoną zakładowi pracy? Czy jest to odpowiedzialność pełna czy też podlega ona pewnym ograniczeniom? (W.T. — woj. piotrkowski).

Pracownik, który wskutek niewykonania lub ненаależytego wykonania obowiązków pracowniczych ze swej winy wyrządził zakładowi pracy szkodę, ponosi odpowiedzialność w granicach rzeczywistej straty zakładu i tylko za normalne następstwa swego działania lub zaniechania.

Zakład pracy jest obowiązany wykazać okoliczności uzasadniające odpowiedzialność pracownika oraz wysokość powstałej szkody. Pracownik nie ponosi odpowiedzialności za szkodę w takim zakresie, w jakim zakład pracy lub inna osoba przy-

czyniły się do jej powstania albo zwiększenia. Pracownik nie odpowiada też za ryzyko związane z działalnością zakładu.

W razie wyrządzenia szkody przez kilku pracowników każdy z nich podlega odpowiedzialności za część szkody stosownie do przyczynienia się do niej i stopnia winy. Jeżeli nie jest możliwe ustalenie stopnia winy i przyczynienia się poszczególnych pracowników do powstania szkody, odpowiadają oni w częściach równych.

Odszkodowanie ustala się w wysokości wyrządzonej szkody, jednak nie może ono przewyższać kwoty 3-miesięcznego wynagrodzenia pracownika. Gdy wysokość szkody nie przekracza kwoty najniższego wynagrodzenia pracowniczego albo stopień winy pracownika jest nieznaczny, kierownik zakładu pracy może — z własnej inicjatywy lub na wniosek zakładowej organizacji związkowej i za zgodą pracownika — zaniechać dochodzenia odszkodowania i zastosować wobec pracownika tylko karę porządkową.

Jeżeli naprawienie szkody następuje na podstawie ugody pomiędzy zakładem pracy a pracownikiem, wysokość odszkodowania może być obniżona, najwyżej o jedną trzecią, przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności sprawy, a w szczególności stopnia winy pracownika i jego stosunku do obowiązków pracowniczych. Wysokość odszkodowania może być także obniżona przez sąd, najwyżej jednak o jedną piątą.

W sytuacji gdy pracownik dopuścił się zagarnięcia mienia społecznego albo w inny sposób umyślnie wyrządził szkodę, jest on obowiązany do jej naprawienia w pełnej wysokości. Pełną odpowiedzialność ponosi też pracownik, któremu powierzono mienie z obowiązkiem zwrotu albo do wyliczenia się. Od tej odpowiedzialności pracownik może się uwolnić, jeżeli wykaże, że szkoda powstała z przyczyn od niego niezależnych, a w szczególności wskutek niezapewnienia przez zakład pracy warunków umożliwiających zabezpieczenie powierzonego mienia.

Podstawa prawna: art. 114-127 kodeksu pracy.

DODATKI SPECJALISTYCZNE

Jestem nauczycielem historii z drugim stopniem specjalizacji. Niedawno uzyskałem też stopień doktora. Czy będą mi wypłacane dwa dodatki specjalistyczne? W jakiej wysokości? (M.S. — woj. gdańskie).

Zgodnie z ostatnią nowelizacją zarządzenia ministra edukacji narodowej w sprawie wynagradzania nauczycieli (M.P. nr 29 z br., poz. 239) wysokość dodatków specjalistycznych z tytułu posiadania sto-

pnia naukowego lub uzyskania stopnia specjalizacji zawodowej wynosi:

- 415.000 zł miesięcznie z tytułu posiadania stopnia naukowego doktora,
- 600.000 zł miesięcznie z tytułu posiadania stopnia naukowego doktora habilitowanego,
- 145.000 zł miesięcznie za I stopień specjalizacji lub kwalifikacje trenerskie I klasy,
- 235.000 zł miesięcznie za II stopień specjalizacji lub kwalifikacje trenerskie I klasy,
- 330.000 zł miesięcznie za III stopień specjalizacji lub kwalifikacje trenerskie klasy mistrzowskiej.

Nauczycielom zatrudnionym w niepełnym wymiarze godzin dodatek specjalistyczny przysługuje w wysokości proporcjonalnej do wymiaru zajęć określonych w umowie o pracę.

W razie zbiegu prawa do dodatku z tytułu posiadania stopnia naukowego i z tytułu uzyskania specjalizacji, nauczyciel ma prawo do obydwu dodatków.

Dodatek z tytułu uzyskania stopnia specjalizacji wypłacany jest w wysokości proporcjonalnej do łącznej liczby godzin zajęć z przedmiotu nauczania lub rodzaju zajęć realizowanych przez nauczyciela zgodnie z posiadanym stopniem specjalizacji nie wyższym jednak niż 100 proc. Do łącznego wymiaru tych godzin wlicza się również godziny zajęć z przedmiotu o charakterze zbliżonym, do którego nauczania nauczyciel posiada kwalifikacje.

Dodatek specjalistyczny przysługuje od pierwszego dnia miesiąca następującego po miesiącu, w którym nauczyciel uzyskał stopień naukowy doktora lub doktora habilitowanego albo stopień specjalizacji zawodowej (kwalifikacje trenerskie), a jeżeli fakt ten miał miejsce pierwszego dnia miesiąca — od tego dnia.

CYTELNICY

PYTAJĄ

„GŁOS NAUCZYCIELSKI”

NR 32/94

ODPOWIADA

Nasz tygodnik — jako jeden z nielicznych w kraju — udziela od lat bezpłatnych porad prawnych: telefonicznie, listownie, a także na miejscu w redakcji. Z całą satysfakcją będziemy nadal pomagać w trudnych sytuacjach życiowych tym wszystkim, którzy się do nas o to zwrócą, także korespondencyjnie. Pod jednym wszak warunkiem. Do każdej korespondencji z prośbą o udzielenie pisemnej odpowiedzi należy dołączyć oryginalny kupon zamieszczony obok na tej kolumnie.

WYPRZEDŹ KARETKĘ!

Obok wielu poradników o tym, jak związać zrazy, wykonać prostą półkę, jakie kwiaty hodować w domu czy na działce, w naszej podręcznej bibliotece powinna znajdować się obowiązkowo książka o tym, jak pomóc sobie i innym w razie nieszczęśliwego wypadku. Ot, choćby w kuchni, gdzie wszystko może się wydarzyć. Nauczyliśmy się radzić sobie z niegroźnymi poparzeniami czy okaleczeniami przy uprawianiu sztuki kulinarnej czy majsterkowaniu i jesteśmy spokojni... od poważniejszych wypadków są przecież specjaliści!

I nagle — gdy pies pogryzie dziecko, babcia dostanie zapaści, a teść złamie rękę — popadamy w panikę. Okazuje się bowiem, że do specjalisty daleko, telefoncy nie działają, a kiedy wreszcie zgłosimy wypadek, dowiadujemy się, że ostatnia karetką właśnie wyjechała do chorego i trzeba czekać. A czekać nie wolno

pierwsza pomoc powinna być udzielona natychmiast; nie możemy patrzeć obojętnie na broczącego krwią czy zwiąającego się w bólach człowieka. Wielu po-

szkodowanych umiera przed przybyciem pogotowia ratunkowego — często przeciwieś sekundy decydują o ludzkim życiu. Oczywiście nie chodzi tu o zastąpienie pomocy medycznej — chodzi o zabezpieczenie chorego na czas przybycia lekarza lub przewiezienia do szpitala.

Tak więc na naszej podręcznej półce zarówno w domu, jak i w szkole czy biurze powinna znaleźć się niezwykle pożyteczna i prosta w użyciu książeczka „Pierwsza pomoc” napisana przez lekarzy-praktyków Janinę Stępińską i Tomasza Szajewskiego, absolwentów Warszawskiej Akademii Medycznej. Książka jest zalecana przez ministra edukacji narodowej do użytku szkolnego i wpisana do zestawu książek pomocniczych do nauki biologii z higieną w klasach VII i VIII oraz w szkołach ponadpodstawowych do nauki przysposobienia obronnego.

Pomyślana jest jako zbiór schematów postępowania w różnych sytuacjach zagrożenia zdrowia i życia, których możemy być świadkami. Zrozumiałe i jedno-

znaczne polecenia, ujęte w punkty i ilustrowane rysunkami, a także przejrzysty układ graficzny pozwalają na wykonanie zabiegów ratujących życie osobom nie posiadającym kwalifikacji medycznych i specjalnego sprzętu.

Należy pamiętać — piszą autorzy poradnika — że nawet najbardziej fachowa pomoc jest bezużyteczna, jeśli jest spóźniona. Przypominają, że każdy człowiek ma moralny obowiązek udzielenia pierwszej pomocy.

Artykuł 164 kodeksu karnego mówi: „Kto człowiekowi znajdującemu się w położeniu groźącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia nie udzieli pomocy mogąc jej udzielić bez narażenia siebie lub innej osoby na niebezpieczeństwo utraty życia lub poważnego uszczerbku na zdrowiu podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Wykazując dobrą wolę ratujący nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne błędy. Dodatkową trudnością jest pokonanie własnych odczuć strachu, obrzydzenia itp.

Są jednak sytuacje, kiedy świadek wypadku nie ma prawnego obowiązku udzielenia pomocy. Chodzi o takie sytuacje, które naraziłyby jego lub inne osoby na niebezpieczeństwo utraty życia lub wiązałyby się z ryzykiem poważnego uszczerbku na zdrowiu. Ratujący nie ponosi również odpowiedzialności karnej, jeśli udzielając pomocy jednej osobie, musi odstąpić od ratowania innej.

IZA KUJAWSKA

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

ODRZUCIĆ... ORTOGRAFIĘ?

W numerze 25 „Głosu Nauczycielskiego” opublikowałem tekst „Dziennikarstwo w szkole” i spodziewałem się reakcji różnych, żadnych, ale nie — takiej. Otóż z najwyższych diapazonów oświaty i życia zrzucano mnie dość brutalnie z powodu jednego zdania brzmiącego „nie powinien to być egzamin z polskiego czy historii, może oprócz... dyktanda. bo w końcu nazwa fakultetu noblesse oblige...”. Reakcja na pozostałe wywody mego tekstu sprowadziła się do „ciekawe, acz niezyciowe” — reakcja na doczytane zdanie dałaby się streścić „autor do Tworek!”.

Od własnych byłych uczniów usłyszałem, że o ile oni przecierpieli kiedyś me prywatne (akcent rozmówców) obsesje bezbłędnego dyktanda jako warunku zaliczenia semestru mimo wszelkie inne oceny, to obecnie „ortografii się już nie nosi” (per analogiom do mody damskiej). Orzeczone, że każdy zdolny człowiek przyniesie mi natychmiast zaświadczenie o dysleksji i dysgrafii z kompetentną pieczęcią i jedynie młode osoby, które mogą do mej konserwatywnej mentalności „przystać”, to (aż wstyd cytować, ale to in extenso) „stado kujonów i matolów bez wyobraźni i stylu”. Brakowało tylko hasła „Tylko dysgraf (zaświadczony) ma styl!”. Poczulem się jak bakalarz sprzed wydania „Ortofony” Stanisława Zaborowskiego, pierwszego polskiego podre-

cznika ortografii z początku wieku XVI. Zaproponowano mi osobliwe średniowiecze z dowolnością pisowni, ozdobione futuryzmem oraz współczesnymi anegdotami o niektórych warszawskich polonistach, chwających się, że są dysgrafami, a mimo to...!!!!. Dysgrałem był sam Hans Christian Andersen, a jakie bajki pisał, a ja nie potrafię pisać ani uczyć, bo mam „nieświeże pomysły”, a i podejście nieprawidłowe do tematu, który sam zaproponowałem. W dodatku znaleźli się i starsi „entuzjaści” jednego zdania, którzy skwitowali mnie lakonicznie:

— Dziennikarz nie musi pisać ortograficznie. Od tego jest w każdej redakcji korekta.

Poczulem się złym człowiekiem, stającym na drodze wszelkiego językowego, myślowego i wręcz duchowego postępu i żeby się zreflektować

wymyśliłem per analogiam kierunki polemiki: a) pomijanie wszelkich znaków drogowych w ruchu ulicznym oraz dopuszczenie do prawa jazdy w różnych kierunkach jazdy bez innych przesłanek zatrzymywania się jak dobry humor maszynistów; c) wprowadzenie w orkiestrach i zespołach muzycznych jedyne kryterium współbrzmienia, mianowicie czasu trwania utworu. Później przestaniemy trzymać łyżkę w prawej ręce przy jedzeniu zupy, także przy stole przyjmując „postulaty mniejszości”.

Tak czy inaczej serdecznie dziękuję wszystkim Zainteresowanym za spontaniczne przyjęcie mego tekstu nawet w wersji jednozdaniowej

ARKADIUSZ MYSZKOWSKI

SZACH KRÓLOWI

pod redakcją
BOGDANA KUSIŃSKIEGO

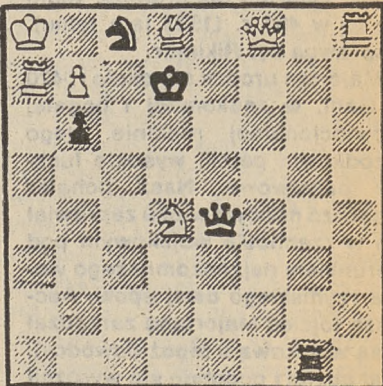
ZADANIE
NR 27

Mat w dwóch posunięciach

Białe: Ka8, Hf8, Wa7, Wh8, Sd4, Gd8, b7

Czarne: Kd7, He4, Sc8, b6

Rozwiązanie zadania należy nadsyłać w terminie 14-dniowym pod adresem redakcji



GŁOS NAUCZYCIELSKI • 11

JAK ŹRÓDŁO JAK KRYSTAŁ

Pewien młody czytelnik powiedział, że już od dawna nie miał książki tak grubej i tak łatwej w czytaniu. Prawie pięćset stron na dwa, trzy dni. Takie jest też moje zdanie i innych. Chodzi o nowy bestseller — „Miłość w czasach zarazy” Gabriela Garcíi Marqueza w przekładzie Carlosa M. Casasa („MUZA SA” '94).

Tytuł jest trafny. Epidemia cholery w większym, a potem mniejszym nasileniu trwa w tym kraju od wieku, a miłość — w jakże wielu jej kształtach, wypełnia całą książkę. Powieść obejmuje jednak także szeroką panoramę ojczyzny pisarza, Kolumbii, jej historię i obyczaje, geografie, krajoznawstwo, nawet „gorący harmider rynków” i dzień powszedni „hotełowych ptaszyn”.

Głównych bohaterów trudno będzie zapomnieć, ale także osoby z drugiego planu (wiem, że to ryzykowne porównanie) mają swoją rembrandtowską wyrazistość.

Wygląd, charakter, i losy każdej postaci — niezależnie od rasy — mogłyby stanowić odrębny temat literacki. Książka trzyma się jednak głównego wątku, jest przejrzysta jak źródło.

Akcja toczy się w dorzeczu potężnej Magdaleny i zaczyna gdzieś w głębi XIX wieku, aby się urwać nagle około roku 1930. Nie jest to jednak powieść — rzeka, bo nie ma rozlewisk, a lata uchodzą szybko i temperament pisarza nie zezwala na nasz europejski rodzaj kontemplacji.

Jak to się jednak dzieje, że możliwa jest drobniarzowa, często naturalistyczna obserwacja każdej jednostki ludzkiej przy jednocześnie szerokim polu widzenia życia miejskiego, górskich osad, skalnych szlaków Sierra Nevada, ruchu w porcie oraz wiecznego karawalu na odległej prowincji?

Niczego nie przeoczono. Widzimy kraj wojny domowej, zarazy i śmierci. Od lat rywalizują konserwatyści z liberałami, a w górach przywódcy band chwytają „ochotników” na łańcuszki. Strumień życia jest silny. Bardzo łatwo tu zginąć, ale czy warto? Szumią tropikalne ulewę, praży słońce, a ludzie unoszą się tak jakos ponad swoimi nieszczęściami. W końcu nie wiadomo, czego tu więcej: cholery, przelewu krwi czy radości

świętowania. Uduchowienia czy makabry.

Poza tym trudno w tej powieści ustalić granicę między powagą życia a jego komizmem. Ten właściwie nigdy nie opuszcza kart książki. Jest jednym z jej żywiołów, chociaż znajdziemy tu również rozdziały przypominające „Dziennik” Camusa, tyle że bez filozoficznej aury, charakterystycznej dla tamtego utworu.

Trzeba dodać, że za życia bohaterów (a są długowieczni) działa już telegraf, potem instalowane będą nieliczne telefony, które łatwo podsłuchiwać z pocztą, zacząć kursować zaprzęganym w mule tramwajem, pojawiają się gramofony i radia. Będą auta, choć do niedawna arcybiskup jeździł na białej mulicy okrytej złocistym czapakiem.

Książka zaczyna się jakby od przedostatniego rozdziału. Oto ginie jedna z najśladawiejszych osobistości miasta, 81-letni lekarz, Juvenal Urbino. Całe jego życie poznaliśmy później, teraz był już szacownym dziwkami, a ginie w sposób groteskowy. Po powrocie z uroczystego przyjęcia usiłował schwytać papugę, która uciekła do ogrodu. Była stara, oskubana, ale jakież piękne otrzymała wykształcenie!

Sam Juvenal Urbino zadbał o jej nieskazitelny francuszczyznę, „władala” hiszpańskim i coś tam mówiła po łacinie. Skarb nie ptak. No więc doktor Urbino już, już miał ją w ręku, kiedy runął z przystawionej do drzewa drabiny. Zdażył jeszcze tylko miłosnym słowem i spojrzeniem pożegnać 72-letnią Ferminę Dazę, swoją małżonkę, i odszedł na zawsze.

Działo się to podczas Zielonych Świątek. Ich obrzędy przemieniły się od razu w trzydniową żałobę, obchodzoną z właściwą temu krajowi ostentacją. Mieszkańcy miasta i prowincji mieli zresztą powody, by otoczyć osobę Juvenala Urbino prawdziwą czcią, by szczerzyć jego kult.

Urbino pochodził z kolumbijskiej arystokracji. Studiował medycynę w Paryżu i przywiózł stamtąd wiele cennych naukowych nowości. Przygrybiony obrazem nędzy i prymitywu własnej ojczyzny, postanowił się jednak nie poddawać i przystąpił do licznych, pożytecz-

nych prac. Przede wszystkim dzięki nieznanym tu metodom powstrzymał epidemię cholery. Doprowadził do budowy pierwszego wodociągu i pierwszych urządzeń kanalizacyjnych w mieście. Okazał się też rozumnym protektorem nauk i mecenasem sztuki. Za jego staraniem przebudowano arenę walki kogutów na operę — i to taką z prawdziwego zdarzenia.

Słowem wykonał pracę za kilka pokoleń. W odróżnieniu od naszego Judyma był człowiekiem, któremu się wszystko udawało. Elita towarzyska miała mu za złe tylko to, że poślubił „piękność spoza swojej sfery, bez nazwiska i majątku”, Ferminę Dazę.

Jej ojciec — jedna z najwspanialszych postaci drugoplanowych powieści — był góraliem, koniokrądem i handlarzem mulów. Swoją pracowitą, zdolną i urodziwą córkę nazywał „złotą mulicą”, co brzmiało w jego ustach jak najwyższa pochwała. Doszedłszy do znacznych pieniędzy, przeprowadził się z córką i siostrą do miasta; żona dawno nie żyła. Zachęcony powodzeniem wdał się później w interesy tak bardzo odległe od prawnego porządku, że groziła mu ciężka kara. Od więzienia uchroniło go tylko wstawienie do doktora Juvenala Urbino..., który był już wtedy jego zięciem. Stary awanturnik musiał uchodzić w swoje góry.

Nie uprzedzamy jednak wypadków. Fermina Daza jeszcze jako dziewczynka uczyła ojca i ciotkę czytać, a twardą ręką prowadziła domowe gospodarstwo. W roli 13-letniej „nauczycielki” ujrzał ją przelotnie w pokoju doręczyciel telegramów. Był nim o cztery lata starszy Florentino Ariza, nieślubny syn właścicieli sklepu z pasmanterią. I to dało początek miłosnemu kataklizmowi, który trwał przez ponad połowę wieku.

Dziewczynka pozostawała pod stałą opieką ciotki i uczęszczała do elitarniej szkoły Ofiarowania Najświętszej Marii Panny. Handlarzowi mulów zamarzyła się przyszłość córki jako prawdziwej damy. Na przeszkodzie stanęła miłosna awantura i usunięcie Ferminy Dazy z zakładu. Okoliczności wydarzenia godne są uwagi, bo oto autor powieści odważył się napisać na nowo dzieje Abelarda i Heloizy albo Romea i Julii, stworzyć studium miłosnego szaleństwa. Inne miejsce na ziemi, inny czas i tok wydarzeń, tylko stopień opętania ten sam.

Początek — jakich wiele. Szczupły młodzieniec, chory z miłości, śledzi codzienną drogę ukochaney, odbywaną zawsze pod opieką ciotki, śpiewa — specjalnie dla Ferminy — na kościelnym chórze, gra pod jej oknem skrzypcowe serenady, w końcu zjada kwiaty, które lubiła, pije jej wodę kolońską i próbuje wydoszcząć z dna zatoki zatopiony tam przed wiekami skarb....

Fermina Daza zauważyła, oczywiście, zaloty i była im przychylna.

Wiedząc, jak bardzo ryzykuje, uległa jego wyszeptanej prośbie i zgodziła się przyjąć list. Składał się wtedy już z 74 gęsto zapisanych kartek. Z upływem czasu listy Florentina stały się zeszytami, wreszcie tomami miłosnej epistolografii platonicznie zakochanego chłopca, mężczyzny, samouka czytelnego w wielkiej poezji.

Panoszy się w jego psychice uczucie przerastające w końcu wszystko. Całą jego biografię, nieoczekiwaną karierę prezesa towarzystwa żegluga rzecznej, erotyczne sekrety. Rzecz jest niezwykła z tego także względu, że Fermina Daza szybko przestała odwzajemniać uczucia swojego trubadura.

Po szkolnym skandalu, po brutalnym wywiezieniu córki przez rozściepzonego ojca w jego rodzinne strony, korespondencja trwała dalej i nic nie zapowiadało jakiegś odmiann. Jednak powróciwszy do miasta po dwuletnim wygnaniu, Fermina od razu pojęła, że jej uczucie było złudzeniem. W dwóch liniach listu zerwała cały związek. Sam na sam zetknął się Florentino Ariza z Ferminą Dazą po upływie pięćdziesięciu jeden lat, dziewięciu miesięcy i czterech dni. Bezpośrednio po pogrzebie jej męża, doktora Juvenala Urbino, liczący 76 lat Florentino wszedł do mieszkaniawdowy, aby „ponowić przysięgę miłości”. Został, oczywiście, wyrzucony za drzwi. Jak się okaże — nie na długo.

Nie opisałem trwającego dziesięć lat małżeństwa doktora Juvenala Rubino, związku pełnego kultury i mimo różnych przeżyć chyba udanego. Nie przedstawie też zakończenia czy braku zakończenia powieści, bo byłoby to niełojalne wobec Czytelnika. Rzecz kończy się sytuacją zupełnie nieoczekiwaną. Do ostatniej chwili nie wiemy, co nastąpi.

Erotyka książki jest, jak wspominałem na początku, wszechobecna. Wiąże się przede wszystkim, choć bynajmniej nie tylko, z losami Florentina. Jest jakieś psychologiczne nieprawdopodobieństwo w jego postaci. Przez pół wieku łączył swoją uduchowioną miłość do kobiety, której względy utracił, kiedy była dziewczyną, z wyuzdanym seksem. Bo tak chyba trzeba nazwać jego osobiste „życie podziemne”.

Kiedy jako starzec wspominał kilkadziesiąt „swoich kobiet”, wzruszał się, że liczne spośród nich są już na cmentarzu i myślał o nim „pośród róż”. Nie wszystkie zmarły zresztą śmiercią naturalną. Jednej poderżnął gardło zazdrosny mąż, inna — o sześćdziesiąt lat młodsza od „opiekuna” — popełniła samobójstwo.

Z tego, co mówię, wydobywa się jakaś odrażająca sensacja. Jak czyni to pisarz, że każda z ofiar (?) jego bohatera jest ludzka, ciekawa i godna portretu, którym ją upamiętnił. Że nic tu nie ma wulgarnego czy płaskiego.

Zadziwiająca książka.

Z „GŁOSEM” PO STOLICĄ



NOWY ŚWIAT 19, CZYLI PALAC Z... OLEJU

Budynek na Nowym Świecie pod numerem 19, gdzie dziś mają swoją siedzibę Skandynawskie Linie Lotnicze SAS, należał kiedyś do bogatej i zasłużonej dla Polski rodziny Kossakowskich. Pałacyk wzniesiony został u schyłku XVIII wieku dla kupca Olliera. Warszawiacy nazwali go natychmiast pałacem Oleja albo z oleju. Po rozmaitych przetargach nabyła go w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia właśnie rodzina Kossakowskich. Do Kossakowskich budynek należał blisko osiemdziesiąt lat.

Jego właściciel, Stanisław Szczepan Kossakowski, był człowiekiem światłym i wykształconym. Parał się literaturą, zajmował się sztuką i „naukami wyzwolonymi”, a jego kolekcja obrazów zgromadzonych na Nowym Świecie wielce była ceniona przez znawców. Kossakowski miał rozliczne kontakty, koneksje i znajomości. Zawsze wykorzystywał je dla dobra kraju. On to właśnie prowadził ożywioną korespondencję z rzeźbiarzem duńskim Thordwalsenem, gdy ten miał wnieść na Krakowskim Przedmieściu pomnik Mikołaja Kopernika. Zachowały się także niektóre listy, jakie Kossakowski wymieniał z odkrywcą egipskich hieroglifów — Champollionem.

Słynne były bale w pałacyku na Nowym Świecie. Na jednym z nich pisał nawet sam car Aleksander II, który zaszczylił dom hrabiego swoją osobą, chwalać bardzo kolekcję obrazów i urodę żony. Bywali tutaj także: Kazimierz Wójcicki, Henryk Sienkiewicz, Wojciech Gerson, a Władysław Podkowiński miał na poddaszu swoją pracownię. Z jej

właśnie okien namalował dwa obrazy przedstawiające Nowy Świat.

Podkowiński, zakochany w nie wzajemnej mu Lucynie Kotarbińskiej (ją to przedstawiał słynny obraz „Szał”...) wcale o życie nie dbał. Często widywano go, jak tarzał się w mokrej trawie albo na pół nagiego wychylającego się z okien pracowni. Chciał po prostu przebiec się i umrzeć. Celu wkrótce dopiął, zachorował na nieuleczalne wówczas dwustronne zapalenie płuc i zmarł, nie dożywszy trzydziestki. W jego pracowni znaleziono na sztalugach nieukończony obraz „Marsz żałobny”...

Nieublaganie płynął czas, spał się piasek w klepsydrach. Nadszedł pamiętny rok 1905, który poza rewolucją przyniósł śmierć starego Kossakowskiego. Wraz z jego odejściem skończyła się era świetności pałacu. Spadkobiercy (a było ich ośmiu) klócili się straszliwie o podział majątku. W wyniku sporów i waśni zniszczono znajdujący się na tyłach pałacu przepiękny ogród pełen rzadkiej roślinności, by na jego miejscu urządzić lodowisko i ślizgawkę. I jedno, i drugie przynosiło stały dochód, a o to przecież chodziło. Wybudowano tu także największe w spódnym Warszawie kino „Colosseum” (na 2600 miejsc!), które przetrwało aż do wybuchu wojny.

W 1939 roku pałac uległ niewielkim zniszczeniom. Ale dzieła dokończył rok 1944, kiedy to z budynku nie pozostało nic. Z ruin podniosło go już w roku 1949 Szwedzkie Towarzystwo ASEA, które — obok Skandynawskich Linii Lotniczych — ma tutaj od lat swoją siedzibę.

DANUTA SZMIT-ZAWIERUCHA

DZIŚ W STAROŻYTNYM RZYMIE

JAN TRYNKOWSKI

MAJORIAN I RIKIMER

DZIŚ, 7 sierpnia (Rzymianie mówili: siedem dni przed idami sierpnia), zamordowany został Iuliusz Valeriusz Majorianus. Stało się to w 461 r. (1533 lata temu), a sprawcą był Rikimer.

Majorian urodził się około r. 420 w Galii, w znakomitej i bogatej prowincjonalnej rodzinie. Jego przodkowie pełnili wysokie funkcje państwowe. Nasz bohater w bardzo młodym wieku zaprawiał się w rzemiośle wojskowym pod kierunkiem najznakomitszego wodza rzymskiego owej epoki, Aecjusza (ojciec Majoriana zarządzał kasą wojskową u tegoż dowódcy). Brał udział i podobno się wyróżnił w licznych bojach z ludami zagrożającymi imperium, m.in. z Frankami i Gotami.

W czasie tej służby zawiązała się bliska przyjaźń ze zdolnym

oficerem Rikimerem, przyjaźń ta w życiu Majoriana miała odegrać decydującą rolę. Nie wziął Majorian udziału w najśladawiejszej z bitew stoczonych przez Aecjusza — nie było go na Polach Katalaunskich, gdzie oręż rzymski odniósł ostatnie w swych dziejach świetne zwycięstwo nad Hunami i ich groźnym królem Atyllą. Nie było go tam, bowiem rok wcześniej wycofał się ze służby i wrócił do swego rodzinnego majątku w Galii. Różnie można oceniać przyczyny tego kroku — zapewne chciał Majorian uniknąć różnego typu intryg i zasadzek, jakich nigdy nie brakuje na wysokich szczeblach władzy. Jak jednak mówił Herodot: „przeznaczonego losu nawet bóg nie może uniknąć” — i los ten szybko się upomniał o Majoriana.

W 454 r. w pałacu cesarskim

w Rzymie rozegrał się dramat, Walentynian III przy pomocy swych dworzan zamordował Aecjusza. Nagły rozkaz cesarski wzywał Majoriana do Rzymu, gdzie obejmuje on dowództwo formacji przybocznych władcy. Chodziło nie tylko o bezpieczeństwo osoby cesarza, ale i o zapobieżenie spowroganemu buntowi wojska wzburzonego mordem na osobie uwielbianego wodza. Nic już jednak nie mogło powstrzymać biegu wydarzeń. W pół roku później, w marcu 455, zemsta dosięgła cesarza i Walentynian III ginie zamordowany. Nowym władcą zostaje Petroniusz Maksymus, ale i ten po zaledwie dwóch i pół miesiąca panowania ginie zabity. Kolejnym cesarzem staje się Awitus.

Pora jednak by opowiedzieć o drugim z dzisiejszych bohaterów. Rikimer był Germaninem o świetnym arystokratycznym rodowodzie, ojciec jego należał do panującego rodu plemienia Szwedów, zaś ojcem jego matki był Wallia, król Wizygotów (panował w latach 415—418, „władca wielce stanowczy i roztropny”). Gdy w 456 r. groziło Italii niebezpieczeństwo ze strony króla afrykańskiego państwa Wandalów Gejzeryka, dowódcą armii rzymskiej, która miała zapobiec tej realnej groźbie, został z rozkazu cesarza Awitusa właśnie Rikimer. Pokonał on Wandalów dwukrotnie: pod Agriantem na Sycylii, a następnie rozbił złożoną z 60 okrętów flotylę wandaloską u wybrzeży Korsyki.

Nie były to zwycięstwa wielkie, ale psychologicznie bardzo ważne, jeśli przypomnimy, że rok wcześniej w 455, Wandalowie wyładowali w Italii i przez dwa tygodnie systematycznie łupili Rzym. Prestiż Rikimera jako wodza wzrósł w tym czasie ogromnie.

Cesarz Awitus, podobnie jak jego poprzednicy, długo nie pannał — zaledwie kilkanaście miesięcy: 17 października 456 r. w bitwie pod miastem Placentia (dziś Piacenza k. ujścia Trebbii do Padu), wojska Awitusa zostają rozbite przez siły, na których czele stoją starzy przyjaciele, „koledzy z wojska”, Majorian i Rikimer. Cesarz dostaje się do niewoli, zostaje zmuszony do abdykacji i w kilka miesięcy później ginie, zapewne zamordowany. Po kilkunastym bezkrólewiu, w r. 457 Majorian zostaje cesarzem. Trudno dziś powiedzieć czym kierował się Majorian biorąc udział w owym zamachu stanu. Najprostsza odpowiedź, że chciał być cesarzem, jest być może za prosta.

Bardziej oczywista wydaje się motywacja Rikimera. Był on utalentowanym dowódcą, zapewne zręcznym politykiem i z pewnością człowiekiem bardzo ambitnym. Zrobił wprawdzie dużą karierę, ale jako barbarzyńca a nadto arianin (doktryna chrześcijańska potępiona przez Kościół) nie mógł zostać cesarzem Rzymu. Mógł panować nad armią wpływać realnie na sytuację w państwie, ale cesarzem musiał być ktoś inny. Być

może ambitnemu Germaninowi odpowiadała sytuacja, gdy władca formalnym będzie jego przyjacielem, a faktyczna władza będzie należała do niego. Jest to możliwe, choć pewności w tym względzie mieć nie możemy. Jak się zdaje Rikimer zawiądził się na swym przyjacielu, który malowanym cesarzem być najwyraźniej nie zamierzał. Próbował porządkować najważniejsze sprawy państwa i jego obywateli, podejmował walkę z szerzącą się korupcją, nakazywał umorzenie nielegalności podatkowych, regulował sprawy miast. Starał się walczyć z tendencjami separatystycznymi w państwie, sztykował wielką wyprawę przeciwko panującym w Afryce Wandalom Gejzeryka.

Panował jak na owe burzliwe czasy dość długo. W kwietniu 461 r. w Arelacie (dziś Arles nad Rodanem) odbyły się huczne uroczystości kolejnej rocznicy jego panowania. Gdy po tych obchodach wracał do Italii, w miejscowości Dertona (dziś Tortona w Ligurii) zastąpił mu drogę jego dotychczasowy przyjaciel Rikimer. 2 sierpnia 461 r. Majorian wzięty został do niewoli i zmuszony do abdykacji. Po udrękach jakie trwały pięć dni, 7 sierpnia został zabity.

„Kariery” Rikimera trwała dalej. Przez następne lata cesarzami Rzymu z woli ambitnego wodza zostawali kolejno Libiusz Sewer, Antemiusz (z jego córką Alipią Rikimer się ożenił), Olibriusz. Panowali krótko i ginęli gwałtowną śmiercią (nie bez udziału Rikime-

ra). Szczególnie ponure wydarzenia rozegrały się przy końcu panowania Antemiusza, gdy Rikimer najpierw oblegał Rzym, a później wydał do wspaniałego miasta na łup swych barbarzyńskich przeważnie żołnierzy. Piszący sto lat po tych wydarzeniach Jordanes, który sam był Gotem kierując się zapewne solidarnościami etniczną i chwalać Rikimera „znakomitego męża, podówczas bodaj jedyne go wybitnego wodza w Italii”, odpowiedzialność za zniszczenie i złupienie Rzymu rozkłada równo między Antemiusza i jego zabójcę „w okrutnej wojnie domowej ze swym zięciem Rikimerem, udręczył Rzym”. Zdaniem Jordanesa ofiara była winna, bo się broniła...

Rikimer umarł 18 sierpnia 472 roku, umarł, albo jak chcą niektórzy został zabity. W cztery lata później Zachodnie Cesarstwo Rzymskie przestało istnieć.

Historia Rikimera i Majoriana (jak też innych marionetek cesarzy tego czasu) wymownie wskazuje jak niezbędne jest jasne rozgraniczenie i określenie kompetencji organów władzy. Sytuacja, gdy najpotężniejszy człowiek w państwie, jakim niewątpliwie był Rikimer jako naczelny wódz wojska, jest formalnie zależny od cesarza, którego faktyczna władza jest niewielka, jest sytuacją niezdrową i prowadzi do konfliktów, nieraz krwawych, a zawsze szkodliwych dla państwa. Nie oznacza to oczywiście, że ludziom pokroju Rikimera zawsze i wszędzie należy ustępować.